

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 8 sierpnia 1948 r.

Nr 32 (153)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

LUDWIK KRZYWICKI

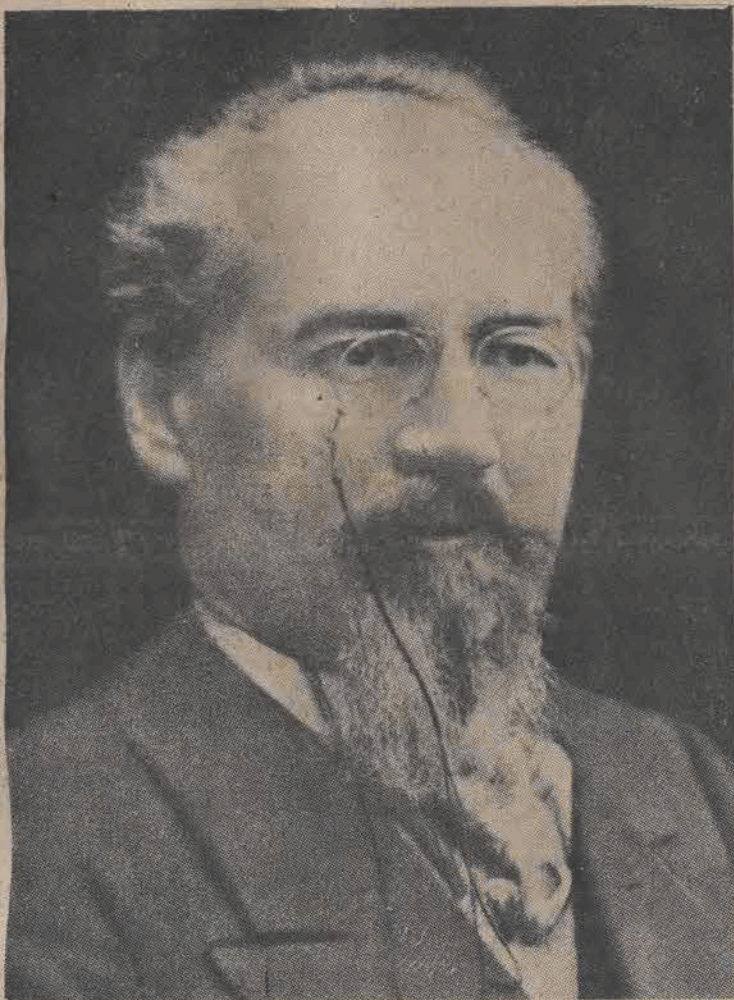
WPLYWY ROSYJSKIE

PRZEZ długie lata milczenia pokrywało oddziaływanie umysłowości rosyjskiej na młodzież polską. Nie ma co dziwić się temu — warunki były ciężkie, ręka okupantów dawała wszystko i ujawniać wpływy idące od książki rosyjskiej byłoby jedynie zachętą dla polityki rządu carskiego, zdumionej opornością Polaków. Czasy te minęły i dzisiaj można by pomówić o niektórych stronach tego oddziaływania. Zaczęło się to bodaj od pozytywistów, którzy o istnieniu A. Comte'a dowiedzieć się mieli od Rosjanina, prof. Nikolskiego. Nie sprawdziłem tego faktu, choć słyszałem o nim z ust wiarygodnych.

Nie będę jednak podejmował tej sprawy w całej jej rozciągłości. Chodzi mi tylko o jeden odcinek życia — o ruch rewolucyjny. Byłem jego uczestnikiem i dlatego mogę twierdzić z całą stanowczością: socjalistyczny ruch w Kongresówce powstał pod bezpośrednim wpływem ruchu rosyjskiego. Lata siedemdziesiąte w Kongresówce były okresem kiedy lojalizm polityczny ubrany w hasła pracy organicznej i niekiedy w nazwę pozytywizmu, panował wszechwładnie nad umysłami. Ale w zakresie myśli filozoficznej i w stosunku do kościoła pozytywizm w swoim lewym odłamie wniósł oddawać na nieznane u nas w takiej mocy dążności wolnomyślnie, a nadto targnął się we wszystkich swoich odcieniach na uświęcone wiekami przodownictwo warstwy ziemianskie nad społeczeństwem. I w Galicji ówczesnej rej wodzili Stańczycy, tak samo stojący na gruncie lojalizmu, ale bez owej wolnomyślności i rokосу przeciwn szlachcie, wyróżniających pozytywizm warszawski. Dojrzała młodzież w najlepszej swojej części hołdowała również hasłom pracy organicznej, przesyconym wiarą w potęgę wiedzy i stosunkiem krytycznym do wszystkiego, czemu nauka nie udzieliła swego poparcia. Z Zachodu przemycano na wielką skalę nie tylko pozytywizm, lecz również darwinizm, a niekiedy filozofię naiwnego materializmu, ale wszystko to było jakoś kuse, a przede wszystkim rozmiennione na drobną monetę publicystyki na łamach tygodników i nawet takich dzienników jak „Nowiny”. Panował wielki zapal do nauki, lecz ograniczał się do nauk przyrodniczych. One to gorączkowały ówczesne umysły młodzieży. Była to dla niej dobra szkoła: już w wyższych klasach gimnazjum pochłaniano artykuły „Przeglądu Tygodniowego”, a później „Prawdy” przysięgano na Darwina i Herberta Spencera, którego naówczas znano raczej z nazwiska niż z dzieł jego, rozprawiano o Büchnerze i Draperze, przysiadano fałdów nad Bucklem. Naturalnie, ruch ten nie ogarniał całej młodzieży, jednak o tyle był pokaźny, pod względem ilościowym i zyskanej powagi, iż nadawał ton obliczu młodego pokolenia: nawet ten, kto nigdy nie zajrzał do wymienionych autorów, ani nie czytywał czasopism wojującego pozytywizmu, przecież za przodującymi postaciami zespołu szkolnego, wymieniał to lub inne nazwisko i bronił, z kiepską, poglądów nieprzetrawionych.

Jeszcze raz powtarzam: była to dobra szkoła. Mówię to z własnego doświadczenia. Zasadniczy rdzeń moich poglądów filozoficznych, swoje pojmowanie rozwoju kosmosu, swój stosunek do naukowego sposobu myślenia, jako jedynie uprawnionego, wyniosłem z ławy gimnazjalnej. Późniejsze studia w tym względzie nic mi nie dodały. I nie ja jeden wyniosłem taki dorobek z ławy szkolnej: wśród dwunastu, którzy jednocześnie opuszczali mury szkolne, było nas zupełnie zdecydowanych

choć pierwiastki do zrozumienia tego przeciwnieństwa wylegały się już w moim umyśle. Bezwiednie ciążyłem ku hasłu rehabilitacji pracy fizycznej. Co więcej, zacząłem się uczyć stolarstwa i tokarstwa. W domu matki w suterynie mieszkał stolarz Wegeman, u którego wiosną i jesienią pracowałem godzinę i więcej wczesnym rankiem przed początkiem wykładów w gimnazjum. Samoistnie zrobiłem jeden i drugi stół. Tak samo w godzinach poobiednich przykładałem się na tokarni. I w tym wypadku mogłem się pochwalić wyrobami ręki swojej, jakimi, — już dzisiaj nie pamiętam. (Nadto kolega Aleksander Debski, później jeden z przywódców Proletariatu, wtajemniczał mnie w arkania intrologatorstwa — dotychczas mam u siebie Lubbocka: Dzieje cywilizacji, które oparłem o siebie przed laty sześćdziesięciu). Nie zdaje sobie dzisiaj należyte sprawy, jakie pobudki skierowały mnie ku tym rzemiosłom: może zamiary wstąpienia do Instytutu Technologicznego lub Mechaników i uzyskania z doświadczenia własnego



Ludwik Krzywicki

znajomości różnych robót. Ale ponieważ to przykładanie się do umiejętności rzemieślniczych co do czasu wiązało się z wydawaniem przeze mnie Pracy, sądzę, iż był to w gruncie rzeczy hołd bezwiednie złożony przeze mnie obowiązku pracy, jako zasady naczelnej życia, a może jeszcze tak samo żywiołowa chęć zrehabilitowania pracy fizycznej w swoim własnym poczuciu przyłożeniem się osobistym do zajęć fizycznych. W każdym razie daleki był naówczas od jakichkolwiek założeń swoich późniejszych poglądów społecznych, które w późniejszym okresie pchały mnie do wzięcia się do pracy fizycznej jako sposobu zarobkowania, a przede wszystkim jako środka oddziaływania na otoczenie robotnicze. (Vollmer miał mnie adoptować, przynajmniej takie były zamiary Jankowskiej, i osadzić na Śląsku w charakterze działacza robotnika). I nie tylko ja jeden byłem w tym położeniu. Hildt, jedna z najciekawszych postaci socjalizmu polskiego podczas jego kiełkowania — bodaj przebył drogę do mojej podobną. Ale znajdował się w dogodniejszych ode mnie warunkach: syn fabrykanta, od dzieciństwa obcował z personelem pracującym niewielkiego zakładu ojcowskiego, zasmakował w gawędach z robotnikami, żył się jeszcze bardziej z nimi w okresie narastającej dojrzałości, uczęszczając do knajp i ogródków, gdzie robotnicy w niedzielę odpoczywali, zabawiali się i swawolili. Gdy spotkał pierwszych socjalistów i od nich dowiedział się o socjaliźmie, był całkowicie przygotowany do przyjęcia nowej religii. Socjalizm był bowiem podówczas religią, nie tylko w Polsce lub w Rosji, ale i w Niemczech. I prawdopodobnie w wielu innych wypadkach socjalizm znajdował takie podłoże przygotowane i jedynie samorzutne sympatie i zainteresowania ujmował w tory założeń teoretycznych i świadomej działalności, uświęcającej rokös robotników przeciwko warunkom ustroju kapitalistycznego. Prawdopodobnie takie nastroje uczuciowe, podyktowane przez czyjąś sytuację jako robotnika fizycznego, pracującego na utrzymanie społeczeństwa a przecież lekceważonego, a uzupełnione przez mniej lub więcej napięte pożądanie jakiejś walki o swoje prawa, kiełkowały w jaźni różnych Kobylańskich, Bieleckich,

„... wszelka religia jest tylko fantastyką odzwierciedleniem w ludzkich głowach tych sił zewnętrznych, które rządzą codziennym bytem ludzi, odzwierciedleniem, w którym siły ziemskie przybierają postać nadziemskich”.

Engels

TREŚĆ NUMERU:

LUDWIK KRZYWICKI —
WPLYWY ROSYJSKIEJANINA KULCZYCKA-SALONI —
O „PŁOMIENIACH” STANISŁAWA
BRZOWSKIEGOADOLF SOWIŃSKI —
WARSZAWA 1945ANTONI KASPROWICZ —
W CZASIE NALOTUANDRZEJ STAWAR —
SIENKIEWICZ PRZED
„TRYLOGIA”JOHN STEINBECK —
WIELKIE GÓRYMARIAN PODKOWIŃSKI —
UKARTOWANY NIEPOKÓJANATOL ESTRYN —
NA AKACH PANARABIZMUJANINA PRZEGRÓWNA —
KSIĄŻKA O MIŁOŚCIPrzełożył MARIUSZ MARGAL —
HANS EISLER W „LES LETTRES
FRANCAISES”R. K. —
RADZIECKIE WYDANIA
UTWORÓW MICKIEWICZA

NOTY

Sieroszewskich, wyrzuconych z warstw zamożniejszych do zastępów robotniczych. Ferment ów niewątpliwie był konsekwencją hasła pracy apoteozowej przez komunardę Karola Świdzińskiego, a wziętych jako ich hasło przez pozytywistów ślizgających się po wierchu i nieumiejących pod wyrazami wyszukać głębszej treści społecznej. Świdziński, kuzyn Jarosława Dąbrowskiego, mówił o pracy w tym znaczeniu, jakie temu wyrazowi nadała pierwsza Międzynarodówka, pozytywści zaś (patrz Chmielowski: Zarys literatury współczesnej — dla Chmielowskiego Świdziński pozostał „skądinąd mu nieznany”) podsunęli pod nie swoją pracę organiczną. Ale nawet wśród pozytywistów byli tacy, co pracy organicznej umieli nadać żywy charakter, jak to uczynił Ochorowicz w swoim hymnie na cześć pracy:

...My chcemy walki co kraj oświeci
Od piwnic aż do poddaszy.

O! bo pieśń nasza to ludów wrzawa,
Huk młotów i turkot maszyn.

Bądź co bądź pozytywizm, do szpiku kości plód widnokręgów mieszczańskich, torował bezwiednie drogę nowym prądom w społeczeństwie polskim. Prądy, które zerwały z lojalnością polityczną organiczistów, będą uragali płytkości ich pojmowania stosunków społecznych, ale w spuściźnie po pozytywizmie wezmą swoją wolnomyślność, swoje opieranie się na nauce jako jedynej instancji wyrokującej o tym czemu mamy wierzyć, a co odrzucić.

Przytoczyłem drogi swego dorabiania się idee społecznych, ale drogi owe utykały gdzieś w jakąś pustkę i tak samo było z Hildtem. Pozostawieni samym sobie, w latach późniejszych pielęgnowaliśmy poważanie, wszelkiej pracy, ceniliśmy człowieka według jego wywiązywania się z obowiązków, krzewiliśmy idee pracy honorowej na rzecz społeczeństwa, ale ponadto nie wiele więcej. Spotykałem później w podeszłych latach przedstawicieli obozu pozytywnego, którzy właśnie wyznawali takie poglądy: górnik Kondratowicz, doktorstwo Dobrscy i wielu, wielu jeszcze innych — dzielnych, uczciwych pracowników — obywateli, ale trzymających się tuż nad ziemią. Ich ideologie oddał w swojej publicystyce przewybornie Bolesław Prus. Że „praca” jest siłą dziejową, która ma kiedyś w przyszłości wykrzesać z siebie nową świat, że chwila poczęcia się tej siły jest uświadomienie sobie przez robotnika, iż w każdej sytuacji jest i będzie wyzyskiwany przez kapitał, który tuczy

*) Fragment II tomu „Pamiętników” Ludwika Krzywickiego, który ukaże się wkrótce nakładem Spółdz. Wyd. „Czytelnik”.

się tym wyzyskiem, że wreszcie najważniejszym wynikiem tego uświadomienia musi być wiązanie się rzesz pracujących w gromady zorganizowane do walki z kapitalizmem, o tym wszystkim nie było w nas świadomości, a tym bardziej gotowości czynu — tak samo jak do końca życia nie było tego u Dobrskich i Kondratowiczów. Do świadomości doszliśmy cudzym rozumem. Światło przyszło od Wschodu, z Rosji. Wprawdzie Rosja świeciła nam nie własnym światłem, a nawet, jak później zrozumiałem, mocno przełamany i wykoszlawiony: prądy społeczne Europy Zachodniej wywołały tam wśród inteligencji rosyjskiej żywe poruszenie, które musiało z konieczności zwrócić się przeciwko caratowi — poruszenie pełne entuzjazmu, zaparcia się siebie w imię idei. Było to jakgdyby objawienie nowej religii, a jej wyznawcy śmiało szli po wieniec męczenników. Niewątpliwie jest to jeden z okresów bohaterskich w rozwoju idei społecznych. Że te idee pod wpływem otoczenia rosyjskiego i właściwego mu niewyrobinia społecznego zeszyły na drogę naiwną, niekiedy kłócące się z doświadczeniem Zachodu, ta okoliczność nie zmniejsza wartości moralnych ruchu rosyjskiego. I właśnie tą stroną bohaterską Rosja pociągała ku sobie młode nasze umysły. Dojrzałem tutaj na miejscu, w Warszawie, zdala od osobistego zetknięcia się z przedstawicielami ruchów rosyjskich. Były to jeszcze czasy, gdy rząd pozwalał na drobniagowe drukowanie odbywających się procesów politycznych. Ciągnęły się te sprawozdania drukowane zwartym drukiem przez jedną i drugą stronicę olbrzymich arkuszy petersburskiego „Gołosa” i innych pism liberalnych. Po parę godzin dziennie przesiadywałem w cukierni Starorypińskiego na rogu Kruczej i Wspólnej, opuszczając wykłady i zaczytywując się w tej legalnej opowieści o ludziach z innego świata, bo zbudowanego na miarę Fidiusza. A więc o Kwiatkowskim i Barannikowie, o Lizogubie. Wymieniam te nazwiska, które wtedy po raz pierwszy przedostały się do mego mózgu i odtąd ani na chwilę nie wypłynęły z mojej pamięci. Podziwiałem tych bohaterów aż do uwielbienia, choć jeszcze dobrze nie wiedziałem o co walczą, prócz tego, że walczą przeciwko caratowi i że ideały takich ludzi są na postawie rosyjskich jak perły w śmietniku. I znowu sądzę, że nie ja jeden dorbiałem się swoimi poglądami. Szukałem klucza do otwarcia tych nieznanym mi jeszcze tajemnic, ale w Warszawie rozpustała się pustka i milczenie po aresztach 1877 — 78 roku.

Dopiero przypadek zetknął mnie ze zwiastunami nowiny społecznej. Było to bodaj w r. 1880. Bawiąc u ojczyma pod Łomżą, zetknąłem się z niejakim Borowskim, wychowawcą Instytutu Leńskiego pod Moskwą, a wtedy urzędnikiem bodaj w Kontroli Państwowej. Nie była to interesująca osobistość. (W przyszłości, poszukując żony, zwrócił się do mnie z południowej Rosji o pomoc w tej sprawie. A kiedy przyjechał skierowałem go do Janostwa Popławskich, z którymi jeszcze wtedy byłem w stosunkach bliskich. Popławska i Józef Hłasko trzymali do chrztu mego najstarszego syna. Popławska wyszukała jakąś panienkę dla Borowskiego, który, otrzymawszy z rąk Popławskiej żonę z biegiem czasu wchłoniął i sojuszydeowy z powstającą endecją, aż w końcu uległ całkowicie w różnych woltach tego obozu. Może kiedyś ubolewał nad tym, że wśród jego znajomych znajdował się jakiś Krzywicki). Ale na razie Borowski odegrał dużą rolę w rozwoju moich poglądów. Zaznajomił mnie z jakimś zesłanym do Łomży studentem. Był to z ubioru nihilista czystej wody: długie włosy, czarny kapelusz z wielkimi skrzydłami, a zimą zamiast palta płed według całego artysty pługowego zawinięty: płed składano wzdłuż długości pasami mniej więcej stopowej szerokości. Jeden koniec lokowano około pachy, dajmy na to lewy, płed przeciągano przez prawe nadramię, a stamtąd ku lewemu bokowi, przepasywano go dokoła ciała od przodu i z prawego boku przetrzucano przez lewe ramie, a zwieszający się drugi koniec przesuwno

przez pleś, który jako pas już opasywał figurę. Przy odpowiednim ułożeniu całości, zwłaszcza przy użyciu paru agrafek, cała górna część ciała była dobrze zabezpieczona od zimna. Kim był ów zesłaniec, Polakiem czy Rosjaninem, nie umiem powiedzieć. O ile był pochodzenia polskiego, to swoim nastawieniem się i zachowaniem całkowicie wsiąknął w nihilistyczne koła studenterii rosyjskiej. Zresztą był jednym z tych umysłów, które nie zaprzętały się pogłębieniem swojej wiedzy społecznej, lecz więcej dbały o mundur nihilistyczny: a więc o długie włosy i inne akcesoria tego rodzaju, o częste i energiczne spluwanie na ziemię, o używanie „krepkich” (mocnych) wyrazów i apoteozowanie Bazarowa, bohatera jednego z utworów Turgeniewa. Pospołu z Borowskim niewiele mogli mi dać. A właściwie dali jedno: nazwisko Marksa jako tego, który napisał nową ewangelię, imię zaś tej ewangelii „Kapitał”. Dzieło to, jak się przekonałem, treścią swoją niebardzo odpowiadało treści podanej mi przez moich znajomych. Obaj go nie czytali — rzecz jasna. Opowiadali z dziesiątych ust, mieszając treść „Kapitału” z założeniami działalności publicystycznej i politycznej Marksa. Zresztą Borowski na jednym poziomie z Marksem stawiał Iwanukowa, z którym w latach przed wybuchem rewolucji często się widywałem w Warszawie: był profesorem ekonomii w politechnice. Płytki — frazesowicz... Jaskrawe, ale swoją nieokreślonością nie kompromitujące frazesy wobec młodzieży i wciąż wysuwane, aby lśnić swoją białością, mankiety przed damami. Mniejsza o to umiowanie Borowskiego. W pół roku później dorwałem się już do Marksa, pierwszej książki ekonomicznej, którą czytałem, a w miesiąc później ustaliłem na resztę swego życia stosunek swój do zagadnień społecznych. A obok Marksa nadal czerpałem ze skarbicy procesów politycznych i kształtowałem swoje podejście uczuciowe do walki politycznej i społecznej.

Naturalnie, ci z pośród młodzieży polskiej, którzy studiowali w uniwersytetach rosyjskich, a zwłaszcza tacy, którzy jako przebywający na kresach dawnej Rzeczypospolitej już w gimnazjach zetknęli się bezpośrednio z ruchem rosyjskim i mieli do czynienia z żywą ustną tradycją, z wieściami studentkami, z działalnością praktyczną jak przechowywanie bibuły, udzielanie noclegu itd. w sposób szybszy ulegali wpływom oddychającego rękodem otoczenia studenckiego. Książka rosyjska odgrywała i wśród nich pokąźną rolę, o wiele wpływowszą niż w Warszawie, gdzie dopiero przez przyjezdnych zwiaśtunów radykalizmu dowiadaliśmy się o tym lub innym autorze. Kazimierz Sosnowski, usadowiwszy się w Warszawie, przywiózł ze sobą niemal całą bibliotekę, wyłącznie w języku rosyjskim: był tam Marks, pisarze rosyjscy obozu radykalnego, Herbert Spencer cały, Lecky itd. itd. Były to druki legalne, lecz ich dobór tak kompromitujący, iż Sosnowski w pewnej chwili uważał, iż jego biblioteka będzie już w razie katastrofy świadcząca przeciw niemu. U Krusińskich zawsze można było znaleźć na stole którąś książkę radykalnych mieszczyńskich rosyjskich — czasopism starannie redagowanych i obfitujących w treść nie tylko poważną, ale i dostarczaną w sposób utalentowany. Socjaliści 1877 — 78 roku rozczytywali się w nich w Warszawie, korzystając z wypożyczalni niejakiego Frühlinga pod filarami Teatru Wielkiego. Literatura rosyjska kompletnie ciążyła wtedy nad młodzieżą bardziej zamiłowaną w poważnym czytelnictwie. O tej sprawie systematycznie milczano w naszej publicystyce. Jak już zaznaczyłem, starsze pokolenie nie dotykało tej drażliwej sprawy, ażeby nie nadawać jej rozgłosu. Tylko w rozmowach poufnych narzekano na to „ruszczenie się” młodzieży. Warto nieco powiedzieć o tej całej sprawie i po latach kilkudziesięciu wynieść ją na światło dzienne.

Ruch umysłowy w Rosji w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych toczył się wartkim potokiem. My w Warszawie słyszeliśmy o wielkich przedownikach myśli w Europie Zachodniej i (co nawyżej) dowiadaliśmy się o ich poglądach z nielicznych artykułów w naszych tygodnikach. W Rosji tłumaczono ich natychmiast, a co więcej, wobec rozległego rynku, sprzedawano po niskiej cenie. Jak w latach późniejszych powieści Orzeszkowej i Sienkiewicza ukazywały się w przekładzie rosyjskim niemal współcześnie z polskim oryginałem, tak samo działo się w Rosji z pracami Lyella, Herberta Spencera, Milla, Drapera. Przy tym nie były to proste przekłady. Do Mila pisał kłótarze Czernyszewskij, które swoi głębością przewyższały wywody oryginału. Marks był przełożony wnet po swoim ukazaniu się w języku niemieckim. Był to pierwszy przekład jego dzieła na jakikolwiek inny język. Wziąłem te dwa

przykłady. Mógłbym przytoczyć mnóstwo innych. Należy do tego dodać całą plejadę utalentowanych pisarzy, którzy w krytyce literackiej lub w felietonie naukowym przemycali zjadliwe oświetlenie stosunków społecznych: Czernyszewskij, Dobroliubow, Pisariew, Michajłowski. I gdy porównamy tę siłę książek, to bogactwo oryginalnych wywodów, zdzieranie bez żadnej ogródki masek z obłudy społecznej, a przede wszystkim wielki urok potężnych talentów pióra i moc ich zapału, pojmujemy jak każdy młodzieniec, chciwy rozleglejszych widnokręgów, ciążył ku tym zasobom myśli. Odpychał go niekiedy język, w którym te rzeczy były napisane, lecz przyciągały idee. Konopnicka, do której docierały te różne idee przez Jana Gadomskiego, przecież kumającego się naówczas z socjalistami, przez Tadeusza Wróblewskiego i innych, w rozpaczki kiedyś pisała:

A nasz młynek na strudze

Obraca plevy swojskie i cudze...

I dodajmy, że to oddziaływanie nie ograniczało się do młodzieży uniwersyteckiej. Początkowo bowiem już w klasie trzeciej lub czwartej gimnazjów. Malców zamiłowanych w czytelnictwie pociągały książki. W naszej bibliotece gimnazjalnej w Płocku znajdowały się w przekładzie rosyjskim i to w przekładzie dobrym wszystkie dzieła Schillera, Goethego, Heinego i Byrona, a nade wszystko wszystkie opowieści Mayne-Reida i Vernego, tak chętnie pożyczane przez dzieciaków. Piśmiennictwo polskie nie mogło pod tym względem iść w zawody z rosyjskim. Gdy paru nas na ławach szkolnych zaczęło upajać się czytelnictwem, znaleźliśmy ujęcie poza szkołą między innymi w czytaniu francuskich powieści, zwłaszcza historycznych Dumasa ojca, a w końcu w sensacyjnych utworach Fevalów, Gaboriau z wypożyczalni Bukiego. Czytelnia ta starała się mieć najnowsze książki, lecz na ogół nie była zbyt zaopatrzona w książki. Druga wypożyczalnia, Stabrowskiego, obumierała śmiercią naturalną: książki zwykle stempla bardzo starego znikały od zużycia, nowe nie pojawiały się na ich miejsce. Pochłanialiśmy z tych wypożyczalni Korzeniowskiego i Kraszewskiego, a nawet prenumerowaliśmy powieści historyczne pana Józefa Ignacego, zaglądaliśmy do Rzewuskiego. Ale tego wszystkiego było za mało na nasze młode apetyty, nie tylko żarłoczne lecz i wybredne. Pisarze ci pasowali do ówczesnych nastrojów w naszym otoczeniu załknionym, lojalnym, mającym jedno pragnienie — przetrwać spokojnie w swojej vegetacji. Z konieczności ten i ów rzucał się na Heinego i Goethego w rosyjskim przekładzie, zaglądał do biblioteki szkolnej po inne książki. Były to lata 1875 — 78, kiedy Sienkiewicz i Prus jeszcze nie wysunęli się naprzód swoją twórczością i kiedy tylko „Przegląd Tygodniowy”, przez paru z nas chętnie czytany, był jedyną placówką urągającą powszechnej senności. Tak było w jednym z większych miast Kongresówki, w mieście wprawdzie mało ruchliwym, lecz wykształconym, ustępującym może Lublinowi i Kaliszowi, lecz przewyższającym inne ówczesne miasta gubernialne swoim poziomem umysłowym. A co dziać się musiało dalej ku wschodowi, w Żytomierzu i Niemirowie, w Mińsku i nawet Wilnie. Książka polska pomiatano jako o treści przestarzałej, nie umiającej pociągnąć młodych umysłów. Młodzież tamtejsza już na ławie gimnazjalnej kumała się z ruchem rewolucyjnym rosyjskim, wchłaniała książkę rosyjską. Kijów przodował, po nim szko Wilno. Niejedni całkowicie wsiąkali w społeczność rosyjską. Byli to zazwyczaj najmniej ideowi i wychowani w otoczeniu, w którym na wielu marzeniach ojców i dziadów pył zapomnienia rozsiadł się grubą warstwą. Bardziej ideowi bratali się po to, ażeby ginąć w młodych latach w walce z caratem ale zaznaczając jak Hryniewiecki, jeden z uczestników zamachu na Aleksandra II, iż „gdy pójdziesz do lasu, przyjdzie do was, teraz walczyć tutaj, bo tu cioty nasze są skuteczniejsze”. Zwrot nastąpił dopiero po opadnięciu wielkiej fali entuzjazmu społecznego w Rosji i wytypieniu gromady śmiarków, co mierząc siły na zamiary porwali się na carat. Nastąpiło ostre załamanie rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. A tymczasem radykalizm polski znalazł u siebie w kraju posterunki wydajnej pracy społecznej. Aż w końcu XIX wieku role uległy odwróceniu — gdy młodzież rosyjska będzie uczyła się po polsku, aby czytać nasze tygodniki radykalne i przekłady na język polski Marksa i Engelsa, a manifestacje w Warszawie w rodzaju pogrzebu Tańskiego, dadzą pobudkę do podjęcia znowu manifestacji w Rosji.

W ruchu rosyjskim Polacy odegrali wyrażną rolę. Wnosili tutaj zamiast smętnej, niekiedy nieco Chrystusowej filozofii nieskalania mózgów swoich myślą o jakiejś

konstytucji, która będzie ostoją rządów nowej uprzywilejowanej mniejszości nad ludem, jasne i stanowcze hasła walki politycznej. Już Aleksander Więckowski, choć ciałem i duchem tkwi jeszcze w chaotycznej filozofii „Ziemli i Woli” i w swoim mieszkaniu drukuje jej organ, wykazuje przecież niezaprzeczoną dążność ku wniesieniu do ruchu rewolucyjnego takich pierwiastków politycznych. W Kijowie w tym gnieździe „buntarnej” — anarchistów, powieszony Walerian Osiniński marzy o terrorze politycznym. A był to Polak niewątpliwy, choć na stronicach historii ruchu rewolucyjnego rosyjskiego figuruje jako Rosjanin. Na zarzuty, iż tkwi w ruchu rosyjskim, prawdopodobnie odpowiedziałby słowami Hryniewieckiego: gdy pójdziesz do lasu, przyjdzie do was. Wł. M. Kozłowski, który mieszkał z nim w tym samym domu w Kijowie, opowiadał mi kilkakrotnie, iż z Osinińskim toczył długie rozmowy, naturalnie w języku polskim. Z Kijowa wyszli bracia Izbićcy, których nazwisko wiąże się z jednym z pierwszych zbrojnych oporów wkraczającej żandarmerii. Z natury rzeczy Polacy od samego początku istnienia „Narodowej Woli” musieli sympatyzować z tym bohaterskim ruchem niewielkiej garstki straceńców. Wśród tej garstki znajdziemy zbiega z Warszawy, Ludwika Kobyłańskiego, który ukinął tutaj aresztu w r. 1878, przetrzącił się do Rosji i niebawem będzie współzawodniczył z Sołowiewem, który z nich ma strzelać do carra. Inny Polak, Mirski, wychowaniec gimnazjum w Niemirowie, będzie uczestniczył w zamachu na Mezencewa. Pomijam Kwiatkowskiego, potomka zesłańca polskiego a bliskiego krewnego Polki, żony Bakunina, Kwiatkowskiej z domu, Kunicki będzie członkiem organizacji „Narodna-ja Wola”, co mu nie przeszkadza oddać szczyt swoją pod stryczek w sprawie warszawskiego „Proletariatu”. Waryński, gdy przybył do Warszawy, właściwie zamierzał stworzyć tutaj posterunek „Narodnej Woli”, ale agitacyjna praca wśród robotników pochłonięta go całkowicie i skierowała na inne tory. Rzecz skończyła się na powołaniu do życia „Proletariatu”, jedynie terror, wysuwany stałe przez Waryńskiego przy każdej okazji, świadczący o wpływach ideologii rosyjskiej na program „Proletariatu”. Debski i Rechniewski odbywali konferencje z przywódcami „Narodnej Woli”, a dalszym wyrazem solidarności był wspólny Komitet „Narodnej Woli” i „Proletariatu”. W r. 1883 bywała stałym gościem w domach sędziów Dobrowskiego i Bardowskiego Antonina Lisowska — również była Polką, a jej brat, Henryk, był pociągany w r. 1881 w sprawie polskich organizacji rewolucyjnych. Swoją urodą robiłaby furorę na balach, ale wolała wybrać inną drogę życia — niebawem stanęła przed sądem wojennym, bodaj ostatnim, jaki odbył się nad narodowolcami. Wreszcie członek „drugiego” „Proletariatu”, Manciewicz, po powrocie z Syberii jako kierownik tajnej drukarni odegrał dużą rolę w okresie, gdy z resztek narodowolców wykluwali się esery. Wreszcie w ostatnim zamachu narodowolców Łukaszewicz, potomek profesora uniwersytetu wileńskiego i sam w przyszłości profesor wskrzeszonej wszechnicy Stefana Batorego, brał czynny udział i za to przesiedział lat kilkanaście w Słisselburgu, a pociągnął za sobą do ciężkich robót Bronisława Płsudskiego i Paszkowskiego. (Nie wspominać o Piekarskim i paru innych, którzy tkwili w „Narodnej Woli” w jej ognisku, lecz uchronili się od wpadnięcia w łapy żandarmerii).

Ludwik Krzywicki

TREŚĆ NR. 31:

Andrzej Stawar — Sienkiewicz przed „Trylogią”; Andrzej Braun — Jerzy Miller — Anna Pogonowska — Wiersze; Mieczysław Wallis — Malarstwo w walce o lepszy świat; Ryszard Matuszewski — O „Samsonie” Kazimierza Brandysa; Adolf Sowiński — Ojciec i syn; Stanisław Nadzin — Narada; Kandyd — Tak toczy się świat; Leszek Kołakowski — O wydawnictwach marksistowskich; Bolesław Gebert — Rola związków zawodowych w ofensywie kulturalnej; Mariusz Margal — Paryski czerwiec 1948; Noty.

PRZEGŁĄD SOCJALISTYCZNY

Ukazał się już numer 6 „Przeglądu Socjalistycznego” o następującej treści:
Lewica socjalistyczna w walce o jedność, postęp i pokój.
O. L. — Po międzynarodowej konferencji socjalistycznej w Warszawie.
LANGE O. — Przez demokrację ludową do socjalizmu.
BASSO L. — O jedność klasy robotniczej.
STIBBE P. — Zadania francuskiej klasy robotniczej.
JACOBSON S. — Szluzna droga.
ARSKI S. — Założenia ideologiczne zjednoczonej partii.
JABLONSKI H. — Wielkie błędy wielkiego trybuna.
MULAK J. — Z dzieł myśli programowej PPS.
RYBICKI M. — Samorząd terytorialny Polski Ludowej na nowych drogach.
KADUSZKIEWICZ A. — Plan Marshalla a Niemcy Zachodnie.
Kartki z historii socjalizmu
KRYGIEROWA St. — Stosunek SPD do PPS zaboru pruskiego.
RUDNICKI W. — Bruno Buozzi.
Na horyzoncie
W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami.
Idee — Myśli — Zagadnienia
SOKOŁOWSKI K. — Problemy rolnicze
ANHALT M. — Granice kapitalistycznej techniki wytworzenia
ELCZEWSKI M. — O aktywizację Partii na odcinku gospodarczym.
WOJCIECHOWSKI K. — Działalność kulturalno-oświatowa wśród dorosłych.
Z życia Partii
Notatnik referenta.
Cena numeru zł 40,-

JANINA KULCZYCKA-SALONI

O „Płomieniach” Stanisława Brzozowskiego

nowa recenzja bardzo starej powieści



Stanisław Brzozowski

STANISŁAW BRZozowski, który jest jednym z ciekawszych i bardziej pasjonujących zjawisk naszego życia literackiego na początku bieżącego stulecia, nie doczekał się jeszcze pełnego opracowania swej twórczości. Poważna sprawa osobista, dotychczas nierozstrzygnięta, ani też nie postawiona w sposób, który można by uważać za ostateczny, ciąży dotychczas na naszym stosunku do pisarza. I właściwie rację ma Stanisław Adamczewski („Patronat Brzozowski”, „Nauka i sztuka”, nr. 4, 1946 r.), że każdy, kto chce się zająć Brzozowskim, od niej zacząć musi. Jego działalność myślicielska, bezładne klebowisko najrozmaitszych postaw myślowych, które pozwoliło uznawać go za poprzecznika i patrona najrozmaitszych kierunków, uniemożliwia także spokojne i wolne od polemicznej czujności spojrzenie.

W studium niniejszym zwrócić zamierzam uwagę na jedną tylko stronę działalności Brzozowskiego, całkowicie niemal zapomnianą, ponieważ w oczach potomnych Brzozowski — myśliciel, publicysta, mówca przesłonił Brzozowskiego — powieściopisarza. I to tak dokładnie, że nawet wznowienie „Płomieni” („Czytelnik”, 1946), przeszło bez echa w naszej prasie literackiej.

A tym to właśnie „Płomieniom” warto przyrzeć się dokładnie: w momencie swego ukazania się, stały się one dla czytelników przeżyciem wielkim i niezapomnianym. Wywoływały sądy albo tak eutuzjastyczne, jak późniejsze zresztą nieco oceny Stanisława Baczynskiego („Łosy romansu”), albo też były traktowane tak całkowicie negatywnie, jak przez Haackera („Rzecz o „Płomieniach”), który widział w nich psychogram, demaskujący w sposób nieodwołalny mentalność zdradcy i prowokatora.

I choć teraz „Płomienie” nie wzbudza już chyba w nikim ani gorącego entuzjazmu ani żywej odrazy, zainteresować jednak muszą jako jedyny utwór w literaturze polskiej zajmujący się tego rodzaju tematem.

Zajmujące są one wydarzeniu, które poruszyło całą Europę i głośnym echem odbiło się w jej literaturach, w literaturze polskiej natomiast nie mogło wywołać oddźwięku współczesnego do całkiem egoistycznego zainteresowania tą sprawą. Terrorystyczna działalność Narodnej Woli poza urzędowym komunikatem, ogłoszonym we wszystkich piśmie wychodzących w Królestwie a donoszącym o zamachu na cara, dokonany w dn. 1 marca 1881 r., a następnie o procesie i śmierci carobójców, nie mogła być przedmiotem żadnych komentarzy i refleksji. Wierni poddani dowiadawali się z komunikatu, co na ten temat powinni byli myśleć i czuć.

Żeby na chybił trafił rzucić kilka przykładów zainteresowania Europy zamachem marcowym, przypomnę tu młodzieńczy dramat Oskara Wilde’a, oraz dwie powieści Alfonsa Daudet. O dramacie swym „Wiera albo nihilizm”, na który jakoś nie reflektował żaden dyrektor teatru, pisał Wilde: „Dzisiejsza Rosja nihilistyczna, z grozą swej tyranii i cudem swych męczenników, jest pełnym żaru, rozpłomienionym tłem, na którym ludzie mego dramatu kołają i żyją”. (Jan Parandowski — „Król życia”, str. 36). Daudet nie odtwarzał egzotycznej, dalekiej Rosji, którą Wilde epatował znużonego mieszczanina. Pokazał nihilistów na bliskim mu terenie. W powieści: „Le Soutien de la famille”, noszącej charakterystyczny podtytuł „les moeurs parisiennes”, rewolucjonistom rosyjskim i polskim ukazał współpracę policji francuskiej z rosyjskim ministerstwem spraw zagranicznych, intelektualistów francuskich pozostających na usługach policji, tropionych

zaś przez nich Rosjan i Polaków, potraktował jako czystych i bezinteresownych, choć może w oczach Francuza nieco barbarzyńskich, bojowników wolności. Bohater powieści tej, Mauglas, wybitny literat, pozostający na usługach policji rosyjskiej, opowiada: „J’ai connu tous les chefs de l’émigration, Lavroff, Popoff, j’ai eu des invitations pour les soirées de l’hôtel Czartoryski... Je n’ai jamais rien pu découvrir. J’ai déjeuné trois mois de suite dans une crémérie derrière le Panthéon avec Sonia Perowska et Jessa Heffmann (sic!), pendues toutes deux (sic!), quelque temps après, à Pétersbourg ou à Moscou, je ne sais plus” (str. 278).

Jako groźny element życia europejskiego znaleźli się także rosyjscy nihilisci w drugiej części głośnej trylogii humorystycznej o Tartarinie („Tartarin sur les Alpes”). To wielkie dziecko, dla którego rzeczywistość jest tylko materiałem do snucia wieczystej bajki o życiu, jedzie w Alpy, aby do laurów myśliwego dodać laury znakomitego alpinisty. I ten francuski Pickwick, pół-poeta, pół-blazen, styka się dwukrotnie z prawdziwą grozą życia: raz w tych partiach Alp, które nie są „ubezpieczone” dla zbłądowanych Anglików, drugi raz w kontakcie z Rosjanami, którzy uciekają przed zemstą swego tyrana. Z początku Tartarin traktuje ich konspirowanie się, jako okazję do nowej zabawy i wrażeń, do odegrania nowej, bohaterskiej roli. Tymczasem na jego linie został naprawdę powieszony agent rosyjski i naprawdę umarł na gruźlicę cudem wydobyty z syberyjskiego zesłania rosyjski rewolucjonista. Dziewczyna zaś, którą Tartarin traktował jako swój ideał i której ofiarowywał spokojny swój dom i życie dostatniej francuskiej mieszczości, okazała się niebezpieczną terrorystką, żyjącą w niepojętych dla niego, mrocznych krainach walki i odwetu.

Sprawa ta, o ile mi wiadomo, nie znalazła oddźwięku w literaturze polskiej. Może tylko w ostatniej części „Duchów” Aleksandra Świętochowskiego pod abstrakcyjnym symbolem Pery, która jest ostatnim wcieleniem Orli, złożyła literatura polska hołd bohaterskim carobójcom.

Pierwszym bezpośrednim, beletrystycznym potraktowaniem tej sprawy są „Płomienie” Stanisława Brzozowskiego.

Powieść ta miała dotychczas dwa wydania, co świadczyłoby o jej względnej popytności. Fakt zaś, że ukazała się po wojnie, jako jedno z pierwszych wznowień, dowodziłby, że jest zjawiskiem zasługującym na wyróżnienie z długiej listy dzieł literatury polskiej, domagających się przedrukowania. Ponieważ nie sposób przyznać tej powieści wysokich zalet artystycznych, przynajmniej w naszym rozumieniu, wyróżnienie to musimy przypisać jej tematowi.

ADOLF SOWIŃSKI

WARSZAWA 1945

Ani ciebie trenami nie uczę, ani żałobą,
płaskie miasto na płaskach, gdzie ongi stał się człowiekiem,
lecz fanfara, że żyjesz, wyrastasz samo nad sobą
jak dąbrowa z pni dębów, upadłych dziś i przed wiekiem.

Prócz tętentu przez miasto przechodzi tyle błękitu,
ile przeszło pożogi w czterdziestym czwartym, przez bramy,
okna, zegary i szczyby tylko błękit wykwita,
życie ze światła się rodzi, światła do życia dość mamy.

A gdy codzienną wędrując dojdziemy codzienną w tę stronę,
którą już opuściły nawet gołębie (jedynie
serca tam nasze wśród gruzów zostały niepopalone),
to poznamy, że wielkość najjaśniejsz widać w ruinie.

Napisana jest w formie pamiętnika, postaci fikcyjnej zresztą, Michała Kaniowskiego, którego autor wprowadza przede wszystkim jako spektatora, znającego większość wybitniejszych osobistości świata rewolucyjnego, ówczesnej Europy. Pamiętnik swój zaczyna on pisać na schyłku życia, kiedy cudem uratowany ze Szwajcarii znajduje przytułek u bogatego krewnego i w majątku jego, samotny, otoczony obawą i niechęcią, urozmaica swą bezczynność spisaniem wspomnień burzliwej młodości. „Siadaj tu sobie przed kominkiem i opowiem tobie. Olenka, tobie starszemu, samemu sobie, co było, jak było, jak się orle serca łamały, jak je chłoneła noc” (t. I str. 24).

Kaniowski jest synem kresowego magnata; ojciec jego przez swój poziom intelektualny i charakter stanowi odosobnione w świecie szlacheckim zjawisko: mądry, oschły, widzi prawdę w ostrych zarysach i nie pociesza ani siebie, ani innych przyjemnymi bajeczkami. Natomiast stryj i stryjanka Michała reprezentują doskonale wcielenie wszelkich ujemnych cech szlacheckości: powierzchowna pobożność, patriotyzm wyrażający się w obchodach rocznic i demonstracjach oraz szukanie uciecia dla swego temperamentu w błazenadach, traktowanych następnie przez sąsiadów, jako przejawy czynnego patriotyzmu. Dobrobyt i zupełna bez troska materialna, spowodująca postawę życiową tych ludzi do najdoskonalszego kwiatyzmu, dążącego do usunięcia wszystkiego, co może być dysonansem w tej harmonii sumień i żołądków.

Atmosfera szlacheckiego dworu działa tak zabójczo na każdą, bardziej aktywną jednostkę, że opuszczają to środowisko wszyscy wartościowi, młodzi ludzie, uciekając od niego jak od zarazy. „Dzisiaj ja rozbiły i wyrzucony poza życie człowiek, przeklinam cię jeszcze, ty rozkładająca dobroci polskich rodzin” — pisze Michał, kiedy przypomina sobie sceny w rodzinie swego przyjaciela. (t. I str. 77). Ota pisze także, że musiała odejść z domu, w którym o agle coś wspominało, w którym teraz nieścisłość, cieżka i pospolita, była nieważna wobec pięknej i wspaniałej przeszłości.

Ciekawe i niezmiennie charakterystyczne, że to postawienie sprawy, które takie gromy ścigało na głowę Brzozowskiego podczas jego procesu, zbiega się z tym, co na ten temat pisze Władysław Studnicki („Sprawa polska”, Poznań, 1910). Studnicki przypomina, że Hryniewiecki, tak uzasadnił swoje związanie się z rewolucyjnym ruchem rosyjskim: „Gdy pójdziesz do lasu, pójdziesz z nami, ale teraz, gdy nie nie robicie, pracuję z tymi, co walczą dla wyzwolenia Rosji”. I taki od siebie dodaje komentarz „wobec cmentarnej ciszy w kraju, wobec kramarskich ideałów pracy organicznej, musiało przemówić do wyobraźni młodzieży naszej, że w Rosji szła młodzież w lud, że staczała walkę z rządem drogą zamachów terrorystycznych. Starsze nawet pokolenie w Polsce, które chciało młodzież naszą powstrzymać od wszelkiej akcji rewolucyjnej, nie szczędziło w ognisku domowym słów uznania dla objawów rewolucji rosyjskiej. Widziano tam „aniołów mścieli, tych, co kamień młyński, ciężący nad nami odwalają” (str. 507).

Temu zabójczemu wpływowi polskiego domu, jest przeciwstawiony dodatni, pobudzający do myślenia i działania wpływ szkoły rosyjskiej. Tutaj także notuje to, jako zjawisko wyjątkowe i chyba w literaturze polskiej jedyne, polegające na odwróceniu typowego w literaturze naszej stosunku: dom, jako szkoła cnót ogólnoludzkich i narodowych oraz szkoła rosyjska, jako miejsce demoralizacji wszelkiego typu.

Takie postawienie sprawy, świadczące, poza wszystkim niewątpliwie o odwadze pisarskiej Brzozowskiego, ścigało na niego nie jeden grom, stało się w rękach jego wrogów dowodem zupełnego wypaczenia moralnego.

Wpływ literatury rosyjskiej działa także uzdrawiająco na Michała: czyta on namiętnie Dobrolubowa, Czernyszewskiego, Bielińskiego, którego nazywa nb. swoim ukochanym nauczycielem.

Ukończywszy gimnazjum, Kaniowski opuszcza dom i wyjeżdża do Petersburga, gdzie zapisuje się na wydział matematyczno-

przyrodniczy. Czuje się tu niezmiernie szczęśliwy, bo „nie było Polski, legend, wspomnień, był olbrzymi świat stwarzania się i stawiania nieustannego” (t. I, str. 92).

Tu opuszcza Brzozowski krainę fikcji literackiej i wkracza na teren zdarzeń prawdziwych, mających już wtedy swoich pamiętnikarzy i historiografów.

Przed wszystkim stwierdzić musimy, że Brzozowski nie osadził wydarzeń swojej powieści, ani w miejscu ani w czasie. Nie próbował nawet poddać wymaganiami, które w tym czasie narzucała potrzeba jakiegoś realizmu czy nawet autentyzmu w przedstawieniu miejsc, gdzie się odbywa akcja powieści „historycznej”. Brzozowski w Rosji nigdy nie był, Petersburga ani Moskwy nigdy nie widział i nie próbował nawet reprodukcją na podstawie materiałów. Po prostu sprawa kolorytu lokalnego nie istniała dla niego, jako zagadnienie artystyczne. Poza błahymi wzmiankami o petersburskich białych nocach, o Pałacu Zimowym i Newie, nie spotkamy niczego, co by zmierzało do jakiegokolwiek odtworzenia realiów. Ograniczył się wyłącznie do tego, by zawiadomić, że bohater jego pojechał do Moskwy, Petersburga lub Odessy. Pod względem topograficznym powieść jest zawieszona w zupełnie próżni, ta warstwa dzieła literackiego została całkowicie pominięta.

A teraz, jeżeli chodzi o zlokalizowanie w czasie: przy pierwszym zetknięciu się z powieścią zdumiewa ona po prostu ogromną ilością zdarzeń, włączonych w krótki odcinek czasowy. Bliższe zbadanie tej sprawy potwierdziło to pierwsze wrażenie w całej rozciągłości. Odtwarzając młodzieńcze niepokoję swego bohatera, przytacza autor rozmowę jego z przyjacielem o zamachu Karakozowa, jako o zdarzeniu dawnym, które wspomina się jeszcze co prawda żywo, ale które straciło już aktualność najświeższej nowości. Zamach Karakozowa to rok 1886 — więc, jak w okresie do roku 1871 zmieścić bogate przeżycia młodzieńcze, który zajął w tym czasie dorosnąć, ukończyć gimnazjum, wyjechać do Petersburga, zapisać się na uniwersytet, dużo się nauczyć, nawiązać kontakty z rewolucyjnymi kółkami młodzieży, być kilkakrotnie aresztowanym, uciec z więzienia, przedostać się do Szwajcarii, nawiązać kontakt z Nieczajewowcami, uciec za granicę, tam poznać środowisko i życie robotników, brać udział w ruchu rewolucyjnym i wreszcie walczyć na barykadach Komuny?

Te wszystkie sprawy, zamachy, aresztowania i ucieczki, rzeczywiście miały miejsce w tym czasie i pod tym względem Brzozowski, jeśli tak to można określić, jest w porządku. Ale ponieważ za wszystko przeżył, lub przynajmniej zobaczył jego bohater, czytelnik ma niepokojące poczucie nieprawdopodobieństwa chronologicznego. Jest zaś ono tylko wynikiem nieporadności technicznej, zależności od formy pamiętnika, która choć przezwytyczona czasem, jak np. zupełnie niepotrzebnie w wypadku Brenneisena, zaciążyła wyraźnie na powieści.

Te wszystkie trudności geograficzne i historyczne zlokalizowania akcji powieści Brzozowski po prostu zlekceważył. Poważniejsze jeszcze trudności nasuwały się pisarzowi wtedy, gdy wprowadził swego fikcyjnego bohatera w świat postaci historycznych, którymi interesowało się powszechnie i o których dość dużo wiedziano. Stała wobec ciekawego zadania artystycznego: postawienie bohatera fikcyjnego obok postaci nie tylko faktycznie istniejących, ale czasowo bardzo bliskich, a niekiedy jeszcze współcześnie żyjących.

Pierwszą taką postacią, — z którą cokolwiek Kaniowski nie styka się bezpośrednio, ale która jest przedmiotem stałego zainteresowania ze strony młodzieży, — jest Czernyszewski. Kaniowski poznaje najpierw jego pisma, a potem dowiaduje się o jego strasznym losie i o ulubionym marzeniu rewolucjonistów, aby odbić go z więzienia. Ale sam opis wyprawy przyniesie dopiero tom II, gdy Kaniowski zetknie się z rewolucjonistą Myszkim i towarzyszyć mu będzie w szaleńczej wyprawie na Sybir.

W tomie I, na więcej miejsca zajmuje jedna z ciemniejszych postaci rewolucji rosyjskiej Sergiusz Nieczajew. Jest to chyba najwyrazistszą postacią powieści, co wydaje się zrozumiałe, ponieważ Brzozowski miał tu gotowy a świetny wzór u Dostojewskiego.

Idąc w jego ślady obdarzył Brzozowski Nieczajewa namiętną nienawiścią do caratu i do wszystkich jego instytucji. Nieczajew nienawidzi całej jego kultury: pisarzy, artystów, ludzi cnoliwych i szanowanych, bo ich cnota wyrasta na zasadniczej krzywdzie i nieprawości. Nienawidzi Hercena, którego traktuje jako arystokratę, bawiącego się w rewolucję. Jest jednym z pierwszych w swoim środowisku ludzi, pochodzących z niższych społecznych i składających swój stosunek do społeczeństwa pod czarnym wpływem zawisł do warstw posiadających. Zamordowanie studenta Iwanowa pod pozorem, że był on szpiegiem oraz napad patologiczną działalnością Nieczajewa wśród ugrupowań studenckich, które okłamywał, opowiadając o swoich stosunkach z rewolucjonistami Europy i centralnymi władzami podziemia rosyjskiego, bądź też epatował demonicznym charakterem swej psychiki, przedstawia

Brzozowski na ogół zgodnie z tym, co przekazała literacka tradycja. Natomiast chronologia znów szwankuje. Nieczajew potraktowany jako przestępca kryminalny został wydany rządowi rosyjskiemu w roku 1872. Brzozowski natomiast umieszcza ten fakt w okresie przez rokiem 1870.

Takich źródeł jak w wypadku Nieczajewa nie miał już Brzozowski, kiedy kreślił postać Gleba Uspieńskiego, którego pokazał nam tylko jako gotowego na wszystko ofiarnika-rewolucjonistę, pracującego dla sprawy przy czynnej i wydajnej pomocy kochającej żony.

Sprawa Nieczajewa i związanego z nią środowiska, wypełnia właściwie całość tomu I, ponieważ drugą jego część poświęcił autor pobytowi Kaniowskiego za granicą oraz szerokiemu pokazaniu środowiska szwajcarskiego, francuskiego i włoskiego. Tom drugi zaś całkowicie jest poświęcony sprawom rosyjskim. Ukochana przez Kaniowskiego w tym okresie Ola, która towarzyszy mu w drugim etapie działalności rewolucyjnej, to uczestniczka i realizatorka „choźdlenia w narod”, które stanowiło jeden z ważniejszych punktów narodników w pewnej fazie rozwoju ruchu i które znalazło szerokie i różnorodne uzasadnienie teoretyczne. Ola mieszka „na fabryce”, pracuje jako robotnica, a cały wolny czas poświęca propagandzie. Tu także drobne przesunięcie czasowe: w tym okresie bardziej trafia do przekonania opowieść o losach egzemplarza broszury Krajewskiego „Chitraja mechanika”, otrzymanego z rąk parobka czy anegdota o ucieczce z rąk policmajstra rzekomego zduna, ponieważ wtedy całe zainteresowanie narodników zwrócone było do środowiska wiejskiego, nie doceniali natomiast oni i nie interesowali się zupełnie robotnikami. Co więcej pod tym względem Brzozowski jest niekonsekwentny, bo Ola i jej towarzyszyki pokazują w życiu wśród robotników fabrycznych, a zaraz potem informuje o przygotowywaniu do pracy w sposób następujący: „Zima była okresem przygotowania, z wiosną miał się rozpocząć wielki ruch. Z pośpiechem i energią przygotowywano się do wyprawy, zbierano wiadomości po wsiach, uczono się rzemiosł. Doskonale zorganizowana komunikacja dostarczała nam systematycznie co tydzień niemal transportu literatury: broszur, pism, dzienników” (t. II, str. 20).

Jako partnerki roboty Oli, wymienia Brzozowski, zresztą zupełnie chaotycznie, postaci historyczne, jak np. Wierę Zasulicz, Wierę Figner, Zofię Perowską, Bardine, traktując ich robotę jako ważny składnik działalności rewolucyjnej. Roboty tej zresztą nie pokazuje, informuje tylko na sposób publicystyczny, że tego rodzaju działalność przedsięwzięto i że na ogół uwieńczona była ona powodzeniem.

Pierwszym bohaterem terrorystycznej działalności Narodnej Woli jest u Brzozowskiego Hipolit Myszkini, któremu Kaniowski towarzyszy w jego szaleńczej wyprawie na Sybir. Brzozowski czyni swego bohatera podoficerem żandarmerii (w rzeczywistości był on synem podoficera). Wyprawa ta i próba porwania Czernyszewskiego przedstawiona jest w ten sposób, że czytelnik ani chwili nie wierzy, iż może się ona udać. Pomyśl Myszkina, jego straszenie odważa zainteresowała i zafrapowała Brzozowskiego, ale nie potrafił on wypełnić schematu z awanturkowej powieści, żywym i interesującym materiałem konkretnych faktów. W dalszym toku powieści wspominał i podał w impresjonistycznym streszczeniu jego mowę na pogrzebie rewolucjonisty Dmochowskiego, za którą przedłużono mu o lat 15 pobyt w katorżce.

Od tego momentu zagęszcza się środowisko postaci historycznych. Występują: Solowjow, organizator nieudanego zamachu na cara, Zofia Perowska, jedna z naczelnych postaci Narodnej Woli, organizatorka kilku kolejnych, nieudanych zamachów, którą Brzozowski charakteryzuje, jako silną, piękną duszę, umiejącą żyć tylko w ciągłej walce i niebezpieczeństwie, Andrzej Żelabow, dla którego autor ma te same superlatywy, którymi charakteryzował Perowską. Tworzy on z nią, według słów Brzozowskiego, „parę orłów, która uwiła swe gniazdo na skałach zagrożonych uderzeniem gromu”. Dalej mamy Kibalczyca, uczzonego matematyka, poświęcającego się w tym samym stopniu działalności rewolucyjnej co i nauce, Hryniewieckiego, „który szedł wykonać swój zamach z takim spokojem, z jakim kosiarz wychodzi na żniwo” (t. II, str. 184), Michajłowa, który osiadł wśród ludu i rozwinął żywą działalność, Chałturyna, organizatora zamachu dynamicznego w Pałacu Zimowym. Niestety Brzozowski nie dostrzega jego wyjątkowego znaczenia, jako świadomego organizatora ruchu robotniczego, zasilaającego szeregi narodowców nowym elementem i wnoszącego w ich prace nowe, twórcze pierwiastki. Dla Brzozowskiego Sonia Perowska, córka petersburskiego gubernatora oraz Chałturyn, robotnik i pionier ruchu robotniczego są jeszcze zjawiskami jednorodnymi i jednakowo ważnymi. Dalej występuje jeszcze Łopatyn, również próbujący organizować ucieczkę Czernyszewskiego, Kletocznikow, urzędnik III wydziału kancelarii carskiej, pracujący dla rewolucjonistów. Poza tym wymienia, czasem rzuca tylko bez żadnych wyjaśnień nazwiska, o których bez specjalnych nad tą sprawą studiów trudno powiedzieć, czy są nazwiskami zmyślonych postaci, czy kryptonimami ludzi rzeczywistych. Duże jest prawdopodobieństwo, że pod pseudonimem Kirsanowa występuje Jerzy Plechanow, który rzeczywiście czas jakiś takiego pseudonimu używał. Charakterystyka Kirsanowa, którego towarzysze nazywają imieniem Jur, wypadła raczej ujemnie: przedstawił go jako człowieka ambitnego, przekonanego o swojej nad-

zwyczajnej wartości i roszejącego sobie dla tego większe prawa, niż te, które przysługują innym. Jeden z towarzyszy tak go charakteryzuje: „Kirsanowa nazywał szambelanem nauki. Wszystko on wie, jak być powinno, etykiety przestrzega”. W innym znów miejscu pisze: „Kirsanow w tym czasie już był trawiony przez swoją śmiertelną chorobę: ambicję umysłową. Gdy przystępował do jakiejś rzeczy, zniknął sam przedmiot — na pierwszy plan występowało to, co on o nim powie i że to musi być lepiej i głębiej pomyślane, niż wszystko inne... Żelabow przejrzał go nawskroś swoim ostrym wzrokiem i osądził. Kirsanowowi, mówił, chłop rosyjski jest głównie na to potrzebny, aby mi dowiedzieć, że ja go nie znam. Marks mu potrzebny, aby dowiedzieć, że Michajłowski jest zafanatem” (t. II, str. 144).

Na ogół można powiedzieć, że ani jedna z tych postaci historycznych nie rysuje się w powieści dość wyraziście, chociaż autor nie skąpi patetycznych metafor i najbardziej wyszukanym superlatywom na określenie prawdziwego, głębokiego ich piękna. I wobec tych autentycznych postaci załamuje się nawet ta technika charakterystyczna, którą stosował z powodzeniem przy kreśleniu postaci fikcyjnych, takich, jak np. ojciec Michajła, stryj Florian, Adaś Bielecki i jego rodzina. Postaci historycznych nie pokazuje na ogół w działaniu (np. suchy i bezbarwny jest opis zamachu, bardzo niezręczne wycofanie się z przedstawienia przebiegu egzekucji). Trudno rozstrzygnąć, czy wpłynęła na to ciągły pośpiech, który zaciążył na całokształcie pisarskiej działalności Brzozowskiego, brak materiału, czy też pewna nieśmiałość i nieporadność twórcza, gdy stanął wobec zadania kreślenia sylwetek „bohaterów i twórców nowoczesnej historii”.

Stwierdzić tylko można, że nie zachował perspektywy w stosunku do swoich bohaterów: na tej samej płaszczyźnie ukazał Zofię Perowską i siostry Lubatowicz, Żelabowa i Myszkina. Wszystkie postaci charakteryzował w tych samych kategoriach i terminach. W uczestnikach Narodnej Woli podkreśla przede wszystkim potęgę, skupioną siłę, jakiegoś zesrodkowanie całej psychiki na jednej sprawie. Każdy „narodowolec” to człowiek niezwykle, wywierający ogromny, czarodziejski niemały wpływ na otoczenie, urzekający swoją osobowością. I znowu przypomnieć trzeba, że nie brakło Brzozowskiemu materiału ani do tego, aby zachować należyte proporcje i właściwe miejsce dla każdego ze swych bohaterów, ani do tego, aby te postaci jakoś zindywidualizować.

Znowu więc nie podolał Brzozowski zadaniom formalnym, stojącym przed pisarzem tworzącym powieść historyczną o Narodnej Woli.

Ostatnie, zresztą najtrudniejsze, zadanie, polegało na stworzeniu i przeprowadzeniu akcji historycznej w powieści tego typu, co „Pamiętnie”, którą tradycyjnie przeciwstawiamy akcji „romansowej” czyli prywatnym sprawom fikcyjnego bohatera, stanowiącym ważne wiązanie formalne w romanse historycznym. „Prywatna” akcja Kaniowskiego składa się z wędrówek odbywanych w niesamowitym wprost tempie po ośrodkach rewolucyjnych Rosji i Europy oraz z niemiłej licznej szeregu przeżyć erotycznych.

Zobaczmyż tedy, jak przedstawia się akcja „historyczna”, „Pamiętnie”. W momencie, gdy Brzozowski pisał swą powieść, dzieje Narodnej Woli były już opracowane, bogate do nich materiały ogłaszały właśnie Burcew, nakładem londyńskiego „Przedświtu” wydana była książeczka Alfonsa Thuna przedstawiająca w sposób jasny i rzeczowy dzieje ruchu rewolucyjnego w Rosji. Ogłoszona była już także książka Selavusa „Królobójcy”, który niezależnie od swego zasadniczego, zjadliwego tonu, poświęcił twórcom zamachu marcowego pełne entuzjazmu rozdziały.

Otóż ciekawe jest, że objawiając swą powieścią tak znaczny odcinek czasu (od zamachu Karakozowa po wydarzenia dziejące się w kilka lat po śmierci Aleksandra II), Brzozowski potraktował okres ten jako całość jednolitą i niezmenną, nie dostrzegł i nie pokazał ewolucji myśli rewolucyjnej. Dzieje Narodnej Woli ujął jako szereg mniej czy wię-

cej interesujących przygód, nie dostrzegł w nich natomiast żadnej dynamiki, żadnego rozwoju. Ograniczył się tylko do zaznaczenia pewnych punktów zwrotnych, czyniąc to ubocznie i bez podkreślenia doniosłości faktu. Tak np. wspominał o podziale na „buntarnej” i propagandystów, zawiadomił o tym, że powoli myśli o carobójstwie stawała się programem wszystkich „narodowolców”, natomiast nie poinformował nas ani o jej dziwnych narodzinach wśród zwolenników „pójścia w lud”, ani o argumentach, za pomocą których ją propagowano. Historii tego odcinka ruchu rewolucyjnego w Rosji Brzozowski nie stworzył. Czytelnik wyniesie z lektury „Pamiętnie” informacji niewiele i niezawzię ścisłych.

Zdaje się jednak, że Brzozowski ma poczucie tego braku w swoim utworze, czuje że nie podolał zadaniu, które narzucała mu powieść historyczna. Pisze bowiem: „Dziś zatarły się w mej pamięci te odcienie. Myśl pamięta różnice i umie przeprowadzić linie rozgraniczające, nie wchodzi w nie jednak już ciepła krew wzruszeń” (t. II, str. 20).

Dlatego za zasadnicze nieporozumienie uważać należy wydanie „Pamiętnie” bez komentarza. Bo tylko starannie i fachowo zrobiony komentarz mógłby udostępnić czytelnikowi współczesnemu niepoślednie wartości powieści. Brzozowski pisał ją w okresie, kiedy „proces 193-ch” żył jeszcze w pamięci, aluzje do carskich miłostek były doskonale jasne i zrozumiałe. Brzozowski przemawiał do innego czytelnika, inaczej oceniał jego orientację w sprawach przedstawianych w powieści, niż to ma miejsce dzisiaj. Współczesnemu czytelnikowi pod tym względem powinien być dopomóc wydawca.

Dotychczas analizując „Pamiętnie” czytniam im tylko zarzuty, a właściwie stwierdzałam kolejno, że brakuje im wszystkich cech formalnych, którymi zwykle odznaczają się najprymitywniejsze nawet powieści historyczne. Bo rzeczywiście brakuje im tego wszystkiego, co uwarunkowane jest racjonalistyczną postawą pisarza, zbierającego materiał do stworzenia wizji epoki i następnie konstruującego ją z zebranego materiału.

Natomiast „Pamiętnie” mają te wszystkie zalety, które może dać postawa entuzjastycznego wielbiciela i wyznawcy, postawa głębokiego przejęcia się światopoglądem, stylem życia, typem psychicznym reprezentowanym przez narodników i pełnego sympatii współprzeżywania tego wszystkiego, co stanowiło treść ich życia. Jeśli książkę tej braku dystansu epickiego w stosunku do bohaterów i reprezentowanych przez nich spraw, to ma ona za to najgłębszy liryczny współdział z nimi. Narrator występuje tu jako rzecznik i apostoł narodowolców. Ma on przekonanie, że program, ich jest bezwzględna prawda, że błądzą ci wszyscy, którzy przeciw niemu występują lub go zwalczają. I ten zar proroka, ta absolutna aproba bohaterów występuje w toku całej powieści.

Zaczyna się to od walki z polskością w jej „połanieckim” wydaniu, od pokazania obłudy typowego polskiego domu, od demaskowania istotnej wartości drobnomieszczańskiej etyki i jej ideałów. Rodzina, czy to magnacka, w której wychował się Michał Kaniowski, czy szlachecka „wysadzona z siodła” wśród której urodził się i wychował Adaś Bielecki, czy wreszcie zżerana przez niedzę drobna urzędnicza rodzina Wrońskiego, wydaje się Brzozowskiemu potworną zasadzką na wolność i prawdość myślową młodego pokolenia. Widzi w niej bagno, w którym można było utonąć, jeżeli się nie ma siły z niego uciec. Pisze więc pamflet na rodzinę, którą w ten sposób ukasztłowana stanowi czynnik wsteczny w rozwoju społecznego społeczeństwa: „Rodzina taka, jaka jest w obecnym świecie musi być zawsze ośrodkiem uczuć antyspołecznych. Rodzina w stosunku do pozostałego świata odgrywa rolę pieczęty, do której drapieżca znosi swą zdobycz. Półki człowiek utrzymuje się przeważnie z tego, co w ten lub inny sposób innym ludziom wydrze, rodzina nie przestanie być tym laboratorium uczuciowym, w którym najdrapieżniejsze, najbardziej egoistyczne, najbardziej zabobrze, antyludzkie instynkty przetwarzane są na modłę sielankową, nie

zmieniając swej zasadniczej treści” (t. I, str. 68).

Najpowierzchniejsza nawet znajomość życia Brzozowskiego, zetknięcie się z jego „Pamiętnikiem”, analiza jego kilku pozycji powieściowych, wskaże, że w tym pamflecie na rodzinę zawarty jest silny pierwiastek autobiograficzny, jakiegoś urazu i przeżycia młodości doszły tu najwyraźniej do głosu, jakieś zrzucenie odpowiedzialności za własne życie i za własną myśl, która nie poszła właściwymi drogami. Stąd też protest i bunt przeciwko rodzinie jako jednemu ze składników zafanowanego, wstecznego ustroju społecznego, jako filaru rosyjskiego samodzierżawia lub nieości i kwietyzmu ówczesnej Polski jest jednym z najsilniejszych tonów tej powieści.

Brzozowski zaaprobował i odtworzył z najwyższym przekonaniem walkę swoich bohaterów z tym unicestwiającym, zabójczym wpływem rodziny, dalej wyprowadził ich na uniwersytet, gdzie rozpoczęli zmudny trud wypracowywania własnego światopoglądu. Naturalnie wszyscy oni są fanatykami nauk przyrodniczych. W pracowniach przyrodniczych zdobywają broń do walki z przesądami, do walki o niezależność myślową. Odwaga myśli to podstawowa cecha bohaterów „Pamiętnie”. Sa to ludzie, którzy odważyli się myśleć.

Dla ulubionych swoich bohaterów wyszukuje Brzozowski pełne entuzjazmu i zachwytu określenia, ucieka się do metafor i wyszukanych epitetów, sugeruje oceny, choć nie dał przedtem obrazu. Próbuje dać jakąś upoetyzowaną legendę. Tak np. Żelabow „był z rasy ludzi, chwytających gwiazdy za szprychy i zatrzymujących je w biegu” (t. II, str. 138), w momencie aresztowania jest jak „lucznik naciągający cięciwę długo, powoli, stanowczo. Lucznik padł, ale w powietrzu strzała brzęczy, przeje przestwór, czuje się, że trafi” (t. II, str. 137). Wesołość Soni Perowskiej staje się „dumą Pallady zbrojnej w spitz” (ibid.).

Nastrojów walki, obraz państwa, w którym istniały równocześnie dwa rządy, faktycznie uznające się nawzajem i wzajemnie reagujące na swoje posunięcia, oddany jest w sposób sugestywny i przekonujący. Mamy dwie strony walczące: policję oraz nie-widzialnych i nieuchwytnych burzycieli porządku na tle przerażonej ludności „cywilnej”, pozornie neutralnej, w rzeczywistości jednak pełnej sympatii dla rewolucjonistów mimo strachu przed represjami.

W przedstawieniu tego zjawiska Brzozowski uchwycił tę samą cechę Narodnej Woli, którą później wytknął Lenin jako jeden z zasadniczych jej błędów: chodzi tu mianowicie o podział, który był konsekwencją ideologii indywidualnego terroru i jego teoretycznego uzasadnienia. Wytwarzał on grupę bohaterów ofiarników, którzy poświęcali swe życie służeńiu sprawie. Życie takiego bohatera było święte i czyste, wolne od wszelkiej egoistycznej myśli, od dążeń do filisterskiego szczęścia, czyn bohateraśki zaś i śmierć z rąk tyrana była tego życia pięknym zakończeniem. Poza tymi bohaterami — ofiarnikami istnieje już tylko bierna masa, o której wyzwolenie się walczy, masa podziwiająca swego bohatera i oczekująca od niego „czynu”.

Brzozowski uchwycił to trafnie, uznając jednak za coś porównywalnego i pięknego. Dostrzegł w tej walce pojedynczych, samotnych ludzi (często podkreślał samotność swoich bohaterów), jakąś groźną poezję, której odtworzenie wymagałoby pióra tejszego prozaika. Dlatego może niejednokrotnie ogranicza się do zaznaczenia, jakdyby do wskazania swemu następcy tych momentów, które by można jeszcze raz wyzyskać i opracować na nowo, jak np. grozę położenia cara, otoczonego zewsząd spiskowcami, upiorny nastroj jego pałacu, ideę carobójstwa, która powoli zyskiwała zrozumienie wśród spiskowców, wreszcie wszystkie perypetie ich walki z policją, walki obfitujące w elementy zarówno wniosło jak fantastyczne.

Ala przy tym zlekceważeniu faktów i podkreśleniu tego, co można byłoby nazwać nastrojem, przy nieustannej pogoni za pięknym, poetyckim zwrotem (np. „cicha noc broczyła krwią, ale groziła wciąż. Teraz biło w jej pierś nieubłagane serce Perowskiej!” t. II, str. 187) uderza niejednokrotnie, że są partie powieści, w których materiał faktów zabrany jest rzetelnie i obficie, np. przebieg zamachu, a następnie wykrycie spiskowców i dalsze ich losy. Ale zgodnie z impresjonistyczną manierą swojej epoki Brzozowski rozpadał to wszystko w jakiejś mgławicy nastrojów, przeżyć, psychologizowania, odtywarzając przypuszczalne nastroje swoich bohaterów.

Dlatego też „Pamiętnie” można określić jako próbę odtworzenia pewnego odcinka rewolucyjnej myśli rosyjskiej, uchwyconego od strony jej emocjonalnej i jeśli można tak powiedzieć, wychowawczej wartości. Pokazanie dróg, jakimi szło uniezależnienie się jednostki od wpływu tepego, konserwatywnego otoczenia, tworzenie przez nią własnego światopoglądu i wyciąganie z niego naje-dalej idących konsekwencji. Odtwarzając te drogi, nie dał Brzozowski jednak logicznie rozwijającego się ciągu, rzucił beładnie fakty i nazwiska, refleksje i liryczne komentarze, mieszał postaci historyczne i fikcyjne. Nie dał dziejów Narodnej Woli, tylko tej legendy, zrodzonej z głębokiego dla niej entuzjazmu.

Przy tej postawie nie mógł naturalnie zająć postawy krytycznej, nie mógł dostrzec w tym ruchu tendencji do „wstecznych, cały naciskał położył na jasne strony „narodniczego”, te właśnie, które Lenin charakteryzował jako wysunięcie ogólnodemokratycznych postulatów i walkę przeciwko wszelkim pozostałościom średniowiecza i pańszczyzny. (Lenin, Dzieła t. I, str. 184, Wyd. ros.).

„Anina Kulczycka-Saloni”

ANTONI KASPROWICZ

W CZASIE NALOTU

Raz, gdy odgłosem okrętowych syren
Porwali z przycy wybiegliśmy truchtem,
Już pękł raket zajaśniało niebo
Widocznym czyniąc rozbudzone miasto.

Więc w przerażeniu niektórzy z pośpiechem
Resztki swych rzeczy nadbutwiali w worki
Ładując, trwoniąc opuszczali teren
Fabryki, łatwy cel „nieprzyjaciela”.

Wnet dał się słyszeć warkot samolotów
Zaladowanych ciężkimi bombami
I trzask charczących dział przeciwlotniczych,
Wyrucających świetliste pociski.

Po drugim grzmocie, gdy zadrżała ziemia
Druh mój, nad rzeką leżący wraz ze mną
Porwał się nagle, lecz opadł znow kłoda,
Gdy świst, a potem huk rozległ się bomby.

Leżałem, patrząc, jak porwał się znowuż
I pobiegł chylił się w blasku dymnych rakiet
I jak powracał przerażony — niosąc
Psa, któregośmy wywołili z rzeką.

Kłajpeda, 1943.

ANDRZEJ STAWAR

Sienkiewicz przed „Trylogią”^{*)}

IV.

PO POWROCIE do kraju okrężną drogą, o czym świadczy szereg korespondencji pisanych z Paryża, Rzymu, Wenecji — Sienkiewicz wznowił działalność felietonistyczną. W owym czasie pojawiły się w druku nowele o tematyce nader różnorodnej, które zdobyły uznanie czytelników. „Stary sługa”, „Hania”, to opowiadania, trochę w stylu tradycyjnym gawędy, wspominków z życia szlacheckiego przenikniętego tu i ówdzie nowoczesnymi motywami. Patriarchalne wspomnienia z dawnych czasów, sentyment, nieco przygody, dawały te zajmujące opowiadania, w których niejedno zapowiadało pisarską linię przyszłego Sienkiewicza.

Obok tego utworu o tematyce wyraźnie zaczerpniętej z niedawnych przeżyć podróży — „Przez stepy”, „Orso”, „Komedia z pomyłek” — rozwijają w formie nowelistycznej motywy amerykańskie. Mocne akcenty społecznie aktualne na swe czasy posiada opowiadanie „Za chlebem”. Niewiele egzotyki zawierają dzieje rodziny chłopskiej, emigrującej za ocean — ludzi zmarnowanych przez nędzne warunki egzystencji, pchniętych na obczyznę, gdzie podlegają wyzyskowi, okrucieństwu ludzi i losu. Opowiadanie to łączy się ze sprawami omawianymi niejednokrotnie w publicystyce ówczesnej. Ruch emigracyjny małopolskich chłopów, który wywarł na Sienkiewicza, uderzającą osobliwie rzeźnym nastrojem całości, wzmocnionym przez nostalgiczny motyw cytatu z „Pana Tadeusza”.

Publicystyczne nuty zawiera opowiadanie „Z pamiętnika polskiego nauczyciela” przedstawiające skutki językowej polityki wynaradawiającej w życiu dziecka szkolnego. U współczesnych jednak najwięcej zainteresowania budziły pisane w tym okresie opowiadania z życia chłopskiego. Pierwsze miejsce wśród nich zajmują bezspornie „Szkice węglem” napisane w r. 1877 podczas pobytu w Ameryce. Biografowie — co nam wobec treści utworu wydać się może paradoksalne — widzą tu wyraz tęsknoty za krajem, wyraz nostalgii. Utwór stanowił ujęcie doświadczeń autora i obserwacji stosunków ówczesnych na wsi dokonane w sposób dojrzały pod względem artystycznym, aczkolwiek nie brakło, jak zwykle w takich wypadkach oskarżeń o przejawianie.

Główną postacią opowiadania nie jest Rzepa, bierny przy całej swej zadziorności, gwałtownym temperamencie i burliwości przeżyć, co sprowadza katastrofę, ani Zolzikiewicz, wysuwający się na pierwszy plan akcji ze swoim intrygantwem i przewrotnością. Istotnym bohaterem, jeśli tak się można wyrazić, tego utworu wydają się stosunki wielkie Kongresówki w owym czasie, przedstawione w zasadniczych elementach składowych.

W dramacie Rzepów autor wprowadza bowiem stopniowo poza pisarzem i wójtów zastawiającymi sieci, knującymi intrygę również i właściciela ziemskiego i księdza, ławników sądu gminnego, urzędników, do którego Rzepowie usiłują szukać obrony przed bezprawiem. Główne czynniki kierownicze regulujące życie wsi ówczesnej, przedstawione zostały w sposób ostry, przy zageszczeniu rysów ujemnych. „Szkice węglem” związane tendencją z działalnością publicystyczną Sienkiewicza w ówczesnej prasie postępowej stanowią niewątpliwie punkt szczytowy radykalizmu autora. Utwór znamionuje duch krytyki społecznej.

Pod względem realizmu „Szkice węglem” górują nad realnymi utworami poświęconymi chłopom. Interesujący rys utworu stanowi wydatowanie wewnętrznych różnic w samym chłopstwie. Po zniesieniu pańszczyzny wystąpiły one nader ostro — bogaty chłop wykorzystuje swą przewagę nad biednym z całą bezwzględnością. Główny krzywdiciel Rzepy obok Zolzikiewicza wiejski bogacz, wójt Burak — otrzymuje poparcie ławników nie tylko z głupoty, ale z głębszego poczucia solidarności. Dziedzic, obszarnek w tym wy-

padku przyzwala jeno na krzywdę — mimo to nienawidzi Rzepy zwraca się przede wszystkim przeciw niemu. W układzie obrazu działały niewątpliwie skłonności autora, niemniej czerpią one uzasadnienie we współczesnych tendencjach rozwojowych, które miały się coraz mocniej uwydatniać na wsi.

Współczesna krytyka zarzucała autorowi pewną beznadziejność, pesymizm w przedstawieniu i oświeceniu wypadków. Niewątpliwie dostrzec możemy również brak skłonności do wysnuć konsekwencji ideowych, do powzięcia wniosków. Jeśli „Szkice węglem” należą do najostrzejszych przejawów radykalizmu literackiego w swoim czasie — niemniej zarysowała się w nich inteligencja postawy. Nazwać zło, opisać je dobitnie, ostro, wydaje się załatwieniem sprawy, likwidacją zagadnienia.

Realizm, autentyzm utworu, nie koliduje z groteskowo humorystyczną formą przedstawienia. Wiele z tej groteski, co się nam wydaje karykaturą, czerpał autor z rzeczywistości. Weźmy choćby list wójta Buraka — zakończony słowami „bo jak tego nie zrobisz — dostaniesz po karku, czego sobie i wam życzę, Amen”. Sienkiewicz w jednym ze swych felietonów cytując autentyczny list pewnego wójta w Łukowskim powiecie zakończony w sposób taki właśnie. Groteska jest więc w nagromadzeniu rysów, w ich zageszczeniu, ale autor rysów owych nie stwarza bynajmniej w sposób dowolny.

„Szkice węglem” należą do najostrzejszych pamfletów społecznych w literaturze polskiej. Nie posiadając wyraźnego kierunku politycznego, utwór ten przez się wyraża i bezwzględność charakterystyki stosunków wiejskich w Kongresówce stanowił znamienity dokument literatury politycznej.

W ton bardziej sentymentalny wpada „Janko muzykant”. Nowela zyskała szeroką popularność zarówno w kraju jak i zagranicą. Przedstawiała w swoisty sposób sprawę głodu już nie tylko fizycznego, ale i kulturalnego wsi. Dramat dziecka chłopskiego o artystycznych skłonnościach, podobnie jak „Szkice węglem” zepsuł sporo żółci wielbicielom patriarchalnych stosunków na wsi i wywołał szczególnie dużą ilość naśladowstw. Kończąc rozmowę z panną ze dworu zahaczała znowu o sprawę cudzoziemskiej ówczesnych klas uprzywilejowanych — zjawisko groźne w owym czasie dla kultury rodzimej, z którym Sienkiewicz walczył, podobnie jak inni współcześni pisarze.

„Bartek zwycięzca” odbija zastrzeżenie polityki antypolskiej w Prusach, stanowiąc próbę ujęcia charakterystyki ówczesnego chłopca. Bartek — pomieszczenie krzepy z głupoty, dający wyzyskiwać się pod każdym względem, ciemny, ale po swojemu uparty, ambitny, „hororny” — chłop jak przedstawił się inteligentowi pozytywistycznemu owych czasów — mieścił wszystkie sprzeczności, jakie nasuwała sprawa chłopstwa. Przewyciężono już złudzenia szlacheckiego chłopomanstwa o łatwości znalezienia wspólnego języka z ciemnym, choć poczciwym w istocie ludem, ale polityczna i kulturalna robota na wsi zaczynała się dopiero — chłopstwo długo miało pozostawać nadal światem w pewnym sensie egzotycznym. Ów egzotyzm usiłowała po swojemu przezwyciężać literatura współczesna, zbliżać w jakiś sposób sprawy wsi, włączając je w ogólny nurt społeczno-kulturalny. Ówczesne nowele wiejskie Sienkiewicza idą po tej linii, podobnie jak utwory Prusa, Orzeszkowej i innych.

Odrębne miejsce wśród twórczości nowelistycznej tego czasu zajęła „Niewola tatarska”. Stanowi ona wstęp do sfery zainteresowań, z których wynikło w niedługim czasie „Ogniem i mieczem”. Jako sygnał nawrotu do przeszłości sarmackiej opowiadanie to zostało przez sfery pozytywistyczne przyjęte z niepokojem, aczkolwiek początkowo usiłowano przedstawiać to jako niewiele znaczące zbroczenie autora, ciągle jeszcze uważanego za jednego z przedstawicieli myśli postępowej i demokratycznej.

V.

Przejście na pozycję zachowawczą nie odbyło się od razu. W późniejszym czasie Sienkiewicz okazywał się skłonny swoją niechęć do pozytywizmu oraz ideologii postępowej jakby antedatować. W ten sposób stawia sprawę list ogłoszony niedawno w rocznicowym numerze „Tygodnika Powszechnego”. Sienkiewicz twierdził, że nastroj środowiska pozytywistycznego, był mu „wstrętny, zwłaszcza zaś przeciwny moim artystycznym poczuciom”.

Wynikałoby z tego, iż autor „Humoresek z teki Worszyły” czuł się od początku obcy nastrojom pozytywistycznym. Aleksander Świętochowski podaje wspomnienie, w którym opowiada, jak uderzyła go rozmowa z wiatrem i niepozornym studentem w czasach Szkoły Głównej, który okazywał zdumiewającą znajomość herbów na przejeżdżających karetach pańskich. Młody człowiek, który tak się interesował herbami, był nieszczerze materialem na pozytywistę.

Ale sprawy nie przedstawiają się bynajmniej tak prosto. Związane z okresem przełomu, z okresem rozdroża cywilizacyjnego, pisarstwo Sienkiewicza stanowi zjawisko nader złożone, wykazuje zrosty kulturalne różnych elementów, krzyżowanie się różnych wpływów. Ze Sienkiewicz „kreślił się” w środowisku pozytywistycznym dość porządnie, świadczą utwory jego, mocno prześiąknięte ideologią organicznikowską. Pisarz szkołę literacką pozytywizmu odbył gruntowniej, niż sam byłby skłonny później przyznać. Zawdzięcza jej umiejętność łączenia wątku publicystycznego z beletrystycznym, którą przejawiał zarówno w tym okresie jak i później.

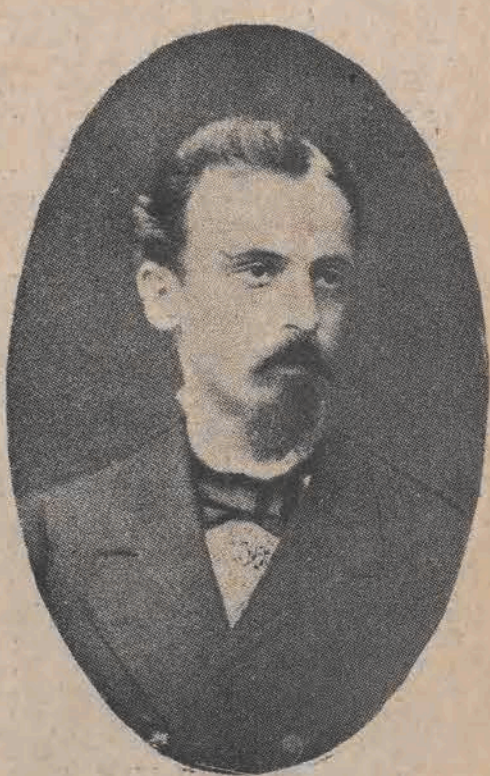
Felietony pisane do pism postępowych nie pozostawiają też wątpliwości co do poglądów młodego autora, którym zawdzięczał oskarżenia o libertynizm. Charakterystyczne są tu już nazwiska owych kukielkowych figurek, którym Sienkiewicz sposobem często używanym przez felietonistów każe występować w swych felietonach przedstawiając typy arystokracji oraz duchowieństwa. Chevalier Zielonogłowski, wołający „o spadzie ojców swoich” w celu ukarania niesfornej felietonisty, hrabianka Pipi, wydająca „un petit cri”, słaby okrzyk nad lekturą postępowego pisma, duchowny — abbe Wylizalski, błogosławiący swoje dobre myślenie owieczki na największe głupstwa, konserwatysta Cymbalkiewicz po pustym życiu chowany w glorii zasług — równie dostojny, jak głupi i tępy marszałek Nadymalski — z daleka załatwiający pustogłowie, cudzoziemską minoderią, pieczeniastwem. Sienkiewicz jadowicie wyszydzał skłonność sfer do myślenia do używania przymiotnika „chrześcijański”. Piszze z okazji pewnej imprezy na rzecz szkoły pod opieką matek chrześcijańskich, której „towarzystwo” nie poparło. „Sądzono, że miłośnierne osoby rozkupią wszystkie bilety co do jednego, że przyjdą naprzód matki chrześcijańskie i ciotki chrześcijańskie z córkami i siostrzenicami chrześcijańskimi i z galopantami chrześcijańskimi; sądzono, że jedni drugich popchną, że każda należąca do bractwa matek „zelantka” (nowy wyraz znaczy: gorliwa) przyprowadzi swego zelanca...”. Po tem felietonie (z grudnia 1875), jak pisze żartobliwie młody autor, stał się dla tych sfer niemal „połnym marszałkiem wszelkich zastępów piekielnych”.

Podczas pobytu Sienkiewicza w Ameryce postępowo dawniej „Niwa” przeszła na pozycję konserwatywną. Sienkiewicz wprawdzie współpracy nie zerwał, ale w pierwszym felietonie podrywał sobie z nowych poglądów pisma. Redakcja w przypisku tłumaczy się, że mimo wszystko wierzy w zdrowy postęp, że walczy z tymi, którzy chcą prowadzić na manowce — kończąc ukłonem dla swego kronikarza — „talent uszanować należy nawet w jego kaprysach”.

Felieton ten znamienity przez liryczny ton zniechęcenia głosi oderwanie się od drzazg trudności życiowych i przejście w świat sztuki — książek, teatru. — To główny motyw nowej rubryki „Mieszanie literacko-artystyczne” w przeciwieństwie do „Chwili obecnej”. Autor jeszcze szydersko naświetla repertuar ideologiczny dziennikarzy zachowawczych. „Ciche, ale głębokie uczucie dla większych posiadłości, wiara w przepowiednię, iż „tańczymy nad przepaścią”, ale wigor w przeciwstawieniu się słabnie wyraźnie”.

Sprzeczności ówczesnej pozycji Sienkiewicza dadzą się ująć jego własnymi słowami z omówienia szkicu znakomitego współczesnego krytyka Spasowicza o Syrokomli. Charakteryzując rzeczywiste czy pozorne sprzeczności poety, autor recenzji bodaj i siebie miał na myśli.

„W innym społeczeństwie taki człowiek, łączący tak silnie dawną tradycję rodową z ideami demokratycznymi, byłby niemal niezrozumiały. U nas można go sobie wytłumaczyć. Był on szlachcicem miernego stanu, szaraczkowym — owóż i w samych tradycjach, jakie wyniósł z domu i rodu, leżały idee równości i pewnej demokracji



Henryk Sienkiewicz w latach młodości

szlacheckiej, która mało stosowana w praktyce, istniała jednak w teorii, w ideach, i skrytykowała się w przysłowiu o szlachciu na zagrodzie. Bez kwestii, przysłowie to nie żyło nigdy życiem rzeczywistym, ale nie mniej wskazuje na ideał świecący dawnej szlachetczyźnie. Owóż dziecię tej szarej szlachetczyzny musiało mieć serce łatwo przystępne dla wszystkich podmuchów nowszych czasów”.

Podobne zmieszanie zamięłowań szlacheckich z postępowymi poglądami, wolnomyślności z konserwatyzmem — podobną dwoistość występującą na odmiennym tle społecznym, już nie w zaściankowych warunkach Syrokomli, widzimy nie tylko u samego Sienkiewicza, ale i u wielu współczesnych wychodźców ze świata szlacheckiego. Życie w wielkim mieście dzieci owej szlachetczyzny jeśli nie tak szare, bywało niemniej ciężkie niż na głuchej prowincji. Konieczność długiego przystosowywania się opóźniała karierę nawet ludzi mających skądinąd skłonność do pewnego oportunizmu życiowego. Proces przemian społecznych, okresami mniej lub więcej burzliwy, postępował jednak stale — towarzyszył mu rozpad patriarchalnych form bytowania. Tego nie mogły nadrobić żadne nawroty do dawnych ideologii.

VI.

Zwrot zachodzący w Sienkiewiczu zaznaczył się w dramacie „Na jedną kartę”, granym w 1881 r. w warszawskim teatrze „Rozmaitości”. Wśród nielicznych zresztą prób dramatycznych pisarza — utwór najbardziej godny uwagi. Sztuka wywołała ożywione spory, ówczesna krytyka przyznawała jej efektowną budowę i zalety sceniczne, posłała z czasem w zapomnienie — dla rozwoju poglądów społecznych autora przedstawia jednak sporą wagę — mamy tu bowiem ustosunkowanie się do zagadnień współczesnych odmiennie niż dotychczas.

„Na jedną kartę” w niejednym wzoruje się na spotykanym wówczas typie sztuk francuskich przedstawiających starcie arystokracji z mieszczaństwem z reguły w zawężeniu erotycznym. Oczywiście, pierwszy akt społeczny ulegał przy tym zdeformowaniu. Jak wspomnieliśmy, wątki zasadnicze dadzą się zestawzić z napisaną o dziesięć lat wcześniej powieścią. Bohater sztuki syn kowala, Józwowicz, przypomina Szwarca z „Na marne” — tamten również syn kowala, na imię miał Józef, studiował medycynę — powtarzanie motywów świadczyłoby o jakichś silnie zaznaczonych wrażeniach czy obserwacjach w młodości. Jednak układ stosunków został odmieniony.

Józwowicz wprawdzie uniwersytet skończył (nawet dwa fakultety) o własnych siłach, ale początki wykształcenia zawdzięcza dobroczynności księcia Starogrodzkiego, u którego został lekarzem domowym i zaufanym tatumackim do wszystkiego. Przytem robi karierę polityczną w stronnictwie demokratycznym — kandyduje do parlamentu. Postaci, których odpowiedniki znajdujemy w „Na marne” — w sztuce potraktowane zostały odmiennie. W powieści mieliśmy zdeklasowanego hrabie-

*) Dokończenie artykułu z n-ru 31 „Kuźnicy”.

go — jego córka kocha się w krótkim plebejuszku, który bezinteresownie pomaga jej w urzędowaniu się po śmierci ojca. Tutaj arystokracja występuje w pełnym blasku i sile — Józłowicz, kochając się beznadziejnie w księżniczce, podstępnie intrygami doprowadza jej narzeczonego do pojedynku, w którym ginie. Księżniczka z tego umiera (takie nagłe zgony zdarzały się nieraz do beletrystryki owego czasu) — Józłowicz w zakończeniu przyznaje swoją klęskę — aczkolwiek na pocieszenie zostaje mu zdobyty mandat poselski i pozycja społeczna z tym związana.

Józłowicz ma podobne właściwości co Szware: tężyzną osobistą, przedsiębiorczość, upór w dążeniu do zamierzonego celu, wreszcie zmysł praktyczny w stosunkach z ludźmi. Temu zawdzięcza swoją pozycję na dworze Starogrodzkiego. W dramacie jednak te cechy zostały podane już w ciemnym oświetleniu. Józłowicz powoduje katastrofę rodziny arystokratycznej, odpłaca niewdzięcznością swym dobroczyńcom. Zresztą podaje motywację — nawet czyniąc mu dobrze, ludzie ci ponieważ wierali jego godności osobistej. W zajądłości, z jaką walczy — czy wyobraża sobie, że walczy o księżniczkę — występuje przede wszystkim ambicja.

Zresztą przy swoistym rozkładzie światła i cieni sens obrazu nie wypada na korzyść przedstawicieli starego porządku, Józłowicz — człowiek bezwzględny, intrygant, nie cofa się przed podstępem, robi świństwa, ale jego tężyzna, rozmach w działaniu, zmysł praktyczny — to cechy, którymi mieszczaństwo górowało nad szlachtą. Arystokracja przedstawiona sympatycznie — ludzie dobrzy, doskonale wychowani, subtelni, ale poza swoimi przesadami, drażliwościami honorowymi, manierami — niewiele mają do przeciwstawienia ludzkiej mieszczaństwu. Obok karierowicza, ambitnika Józłowicza, demokratów reprezentuje uczciwy, ideowy Zuk, który zapowiada nowemu posłowi ostrą kontrolę nad jego przyszłymi posunięciami. Autor sprzyja arystokracji, ale to sprzyjanie ma charakter li tylko osobisty: to szlachta sympatyczna, zająca, lepiej wychowana, kulturalna, przyzwoitsza razem ze swymi cnotami, zaletami i całą pozycją już nie z tego świata — Józłowicz i Zuk ich zjedzą. Autor jakby mówił — mogę wyrazić wam jeno pełną moją sympatię, ale nic na to nie poradzę.

Przypomina się tu postawa, zajęta pięćdziesiąt lat wcześniej przez Krasińskiego w „Nieboskiej komedii”. „Na jedną kartę” nie można zestawiać z arcydziełem naszego dramatu romantycznego — ale tu i tam mamy podobne rozdwojenie ideowe — estetyczne sympatie pisarza po stronie ludzi starego porządku — siła po stronie przeciwników. Daje to ciekawy komentarz do poglądów Sienkiewicza, jako podopory sił zachowawczych w następnym okresie.

Dramat, jako się rzekło, efektowny, zrobiony w stylu francuskim, grzeszył jednak ogólnie biorąc słabym przedstawieniem osób działających — charaktery występują raczej przez opis, opowiadanie, niż w akcji. Są też nieprawdopodobieństwa — Józłowicz — zaufany, totumfacti księcia (jakieś dalekie echa Figara Beaumarchais) robi przymtem karierę w partii demokratycznej. Sztuce brak w istocie realnego środowiska, w którym mogłaby się odegrać — stąd abstrakcyjność przedstawienia osób, ich działań, schematyzm przy braku prawdy życiowej.

„Na jedną kartę” stanowi w każdym razie dowód, iż przemiana poglądów ideologicznych i społecznych autora, przechodzenie na stronę konserwatywną nie odbywało się bez poważnych wewnętrznych zastrzeżeń autora, którego postępowcy długo uważali za swego.

W tym czasie najwybitniejszy krytyk obozu zachowawczego, Stanisław Tarnowski, dał taką charakterystykę młodego pisarza w omówieniu jego pierwszych opowiadań.

„Widzimy dotąd w jego powieściach uczucia i pragnienia, nie widzimy doktryn ani namietności. Kto się zgorszył z księdza w „Szkicach węglem” i wnosil z nich, że autor jest bezbożnikiem, a przynajmniej bezwyznaniowym, ten niech przeczyta „Niewolę tatarską”, kto z „Niewolę tatarskiej” oskarża go o arystokrację czy szlachetczyznę, niech przeczyta „Szkice węglem” lub „Janka”, a kto z tych domyśla się, że w nim fermentuje kwas społeczny, ten niech się uspokoi, czytając „Hanie”. Poczet Tarnowski konkluduje: „dusza dość staropolska, nie bez szlachetkich nawet instynktów, wystawiona na wpływy wieku i postępująca się jego drażliwymi nerwami”. („Studia do historii literatury polskiej. Henryk Sienkiewicz”).

Pomijając sprawę stylizacji wizerunku niejedno tu okaże się trafne i dla późniejszego okresu twórczości autora „Trylogii”.

Andrzej Stawar

JOHN STEINBECK

WIELKIE GÓRY

Przekład Teresy Czarkowskiej
Ilustrował K. Sosnowski

W gorącym powietrzu letniego popołudnia unosiło się zwykle chmar owadów. Mały Jody rozglądał się wokół siebie po ranczy, szukając co by tu zbroić. Był już w stodole i tak długo ciskał kamieniami w jaskółcze gniazda pod okapem, dopóki z wszystkich glinianych rozwalonych domeczków nie posypała się ściółka słomy i brudnych piórek. Potem wśród zabudowań gospodarskich nastawił łapkę na szczury, kładąc w nią kawałek stęchłego sera w takim miejscu, że poczwierzy duży pies Doubletree Mutt musiał niechybnie wsadzić w nią nos. Chłopcem nie powodowało okrucieństwo; po prostu nudziło mu się w owo niekończące się, upalne popołudnie. Doubletree Mutt wpakował swój głupi nos w pułapkę i skrwawiony, skowycząc z bólu, kulejąc, poleciał precz. Niezależnie od tego jaka część ciała go bolała, Mutt kulał. Reagował na ból w ten sposób od czasu, kiedy w młodości wpadł w sidła zastawione na kujota. Żadnymi karami nie można go było od tego odurczyć.

Kiedy Mutt się rozszczękał, z wnętrza domu odezwała się matka chłopca: — Jody! Przestań dręczyć psa! Znajdź sobie coś do roboty.

Jody uznawszy, że postąpił podle, cisnął w psa kamieniem. Potem wziął procę z ganku i poszedł w zarośla w nadziei, że uda mu się ubić ptaka. Proca była prawdziwie dobra, z gumą kupowaną w sklepie, jednakże Jody nie trafił dotychczas ani jednego ptaka, choć strzelał z niej wielokrotnie. Szedł bródka między jarzynami, wbijając palce nóg głęboko w piasek. Po drodze znalazł doskonały kamień do procy: okrągły, lekko spłaszczony i dość ciężki, żeby dobrze niósł. Ułożył kamień w procę i poszedł dalej wzdłuż zarośli. Po raz pierwszy w ciągu tego popołudnia zawziął się: oczy mu się zewzwały, poruszał niespokojnie wargami. W cieniu szafwili małe ptaszki pracowały gorączkowo, grzebiąc między liśćmi — odrzucały o kilka kroków dalej i znowu skrobały. Jody naciągnął procę i przybliżył się cicho. Mały drożd zatrzymał się na chwilę, spojrzał na chłopca i przysiadł gotów do odlotu. Jody przysunął się ostrożnie stawiając powoli krok za krokiem. Kiedy nie dzieliło go od ptaka więcej niż dwadzieścia stóp, podniósł procę w górę i wymierzył. Kamień gwizdnął. Równocześnie drożd poderwał się do lotu, nadziewając się wprost na kamień. Ptak spadł na ziemię z rozwaloną głową. Jody podbiegł doń i podniósł.

— Złapałem cię, widzisz! — powiedział. Nieżywy ptak wydawał się znacznie mniejszy niż za życia. Jody czuł nieprzyjemny ucisk w żołądku, więc wyjął z kieszeni szczyrork i obciął nim głowę drożdza. Potem go wypatroszył, obciął też skrzydła. Wkońcu rzucił szczątki w krzaki. Nie interesował go już więcej sam ptak, ani nie robił na nim wrażenia fakt, że ptak nie żyje. Wiedział jednak, co powiedzieliby do niego, gdyby zobaczyli jak zabijał ptaka i wstyd go obciął na myśl o ich sądzie. Uznał, że całe zdarzenie należy wyrzucić z pamięci i nie wracać do niego nigdy więcej.

O tej porze roku susza panowała wśród wzgórz. Dziką trawą nabrała koloru złota. Tylko w pobliżu basenu rośla kępa zielonej, soczystej, wysokiej, słodkiej i wilgotnej trawy, gdzie doprowadzona rurciągiem źródłana woda, przelewała się czasami przez brzegi. Jody napił się z omszałego zbiornika i umył w chłodnej wodzie ręce zawałane krwią ptaka. Potem położył się w trawie na plecach i spojrzał na skłębione, letnie chmury. Przymknąwszy jedno oko zakłócił perspektywę i przybliżył chmury ku sobie tak bardzo, że wyciągnięta dłoń mogł je pogłodzić. Pomału łagodnemu wiatrowi pędzić je po niebie; wydawało mu się, że dzięki jego pomocy szybciej gnają ku skłonowi Loryzonu. Popchnął kędzierzawą chmurę w kierunku gór, wcisnął ją potem poza krawędź wierzchołków tak, że nie było jej już widać. Jody zastanowił się, co też owa chmura w tej chwili widzi? Usiadł żeby lepiej dojrzeć wielkie góry, za które przetaczały się chmury coraz dziksze, coraz ciemniejsze, zlewające się daleko w jedno z zębatami wierzchołkami gór na zachodzie. Dziwnie tajemnicze góry. Uświadomił sobie jak mało o nich wiedział.

— Co jest po drugiej stronie? — zapytał kiedyś ojca.

— Jeszcze więcej gór chyba. Bo co?

— A za tymi drugimi górami?

— Jeszcze więcej gór. Bo co?

— Jeszcze więcej gór i jeszcze więcej gór?

— No wiesz, niezupełnie. Na końcu jest ocean.

— A co jest w górach?

— Tylko przepaście, porosty, skały i susza.

— Czy ojciec był kiedy w górach?

— Nie.

— A czy w ogóle był tam kto?

— Może kilku ludzi. Niebezpiecznie, kiedy pomyśleć o przepaściach i o wszystkim. Czytałem, że Monterey County jest najmniej znanym zakątkiem w Stanach Zjednoczonych — ojciec zdawał się być dumny z tego faktu.

— A na końcu ocean?

— A na końcu ocean.

— A co między górami i oceanem? — chłopiec pytał natrętnie. — Czy nikt nie wie?

— Może tylko kilka osób, wydaje mi się. Ale nic tam nie ma. Mało wody. Tylko skały, przepaście i karłowata roślinność. A dlaczego chcesz wiedzieć?

— Dobrze byłoby tam pójść.

— Po co? Nic tam nie ma.

Jody wiedział, że coś tam jest; coś wspaniałego, tajemniczego. Czuł, że tak właśnie być musi. Zapytał matkę.

— Czy wie mamusia, co jest w wielkich górach?

Spojrzała najpierw na niego, potem na dzikie góry i powiedziała:

— Myślę, że tylko niedźwiedź.

— Jaki niedźwiedź?



— Ten, który poszedł za góry, żeby przekonać się co jest po drugiej stronie.

Jody zagadywał też Billy Buck, parobka, pytając go o możliwość istnienia jakichś zagubionych w górach starożytnych miast. Ale Billy był tego samego zdania co i ojciec Jody.

— Nie widzi mi się wcale — uznał Billy. — Nie ma tam nic do jedzenia, chyba, że są tacy ludzie co jedzą skały.

Tylko tyle wiadomości o górach zdobył Jody. Góry były mu drogie, choć napawały go strachem. Myślał o pasmach gór, ciągnących się milami, łańcuchach za łańcuchem ku oceanowi. O poranku wabiły ku sobie różowe wierzchołki gór, ale gdy słońce przetoczyło się ponad nimi o zachodzie, oblewając je purpurową grozą, Jody bał się gór — były wtedy tak wyniosłe i bezosobowe, że nawet ich niewzruszoną stawała się groźna. Popatrzał teraz ku wschodowi, gdzie ciągnęły się Gabilany, wesołe góry. Tam w sfaldowanym gruncie przysiadły rancze, a w rozpadlinach rosły sosny. Mieszkał tam ludzie i wiele walc stoczyli z Meksykanami na zboczach gór. Odwrócił znowu głowę ku Olbrzymom i zrozumienie kontrastu przebiegło mu dreszczem po plecach. U stóp góry rozciągała się rodzinna rancza, w tej chwili zalana słońcem, bezpieczna. Bielawy ścian dom mieszkalny, brązowiła się w ciepłym blasku stodół. Krasne krowy pasły się na wzgórzach, posuwając się wolno ku północy. Na podwórzu kurczęta grzebały w kurzu, chodząc drobnymi kroczkami, jak w walcu.

Nagle zauważył Jody jeszcze jakąś poruszającą się figurę. Człowiek szedł powoli szczytem wzgórza od strony Salinas, zmierzając ku domowi Jody. Chłopak poderwał się i zawrócił w stronę zabudowań. Chciał być tam w chwili, kiedy obcy przyjdzie. Kiedy Jody przybiegł do domu, obcy był dopiero w połowie drogi. Był chudy i trzymał się bardzo prosto. Jody wiedział, że musiał być jednak stary, po sposobie w jaki odrywał stopy od ziemi, gdy szedł. Kiedy się zbliżył, Jody zobaczył, że miał na sobie spodnie i marynarkę z niebieskiego cwieliu. Obuty był w prymitywnej roboty buty, na głowie miał stary, szerokokoskrzydły kapelusz. Na ramieniu niósł nierówno zapchany worek. Po kilku minutach był już tak blisko, że widać było jego twarz. Cera miała ciemną, jak suszona wołowina. Nad ustami niebiesko-białe wąsy odbijały się ostro od ciemnej twarzy. Spod kapelusza wysuwały mu się kosmyki siwych włosów na kark. Skóra na twarzy tak mu się skurczyła, obciągając twarz i czaszkę, że pod nią widać było wyraźnie

kości, a nie ciało; nos i podbródek zarysowane miały tak ostro, że wydawały się kruche, łatwe do uszkodzenia. Oczy miał duże, głęboko osadzone i ciemne, a powieki obciągały ciasno gałkę oka. Zrenica zlewała się z tęczówką jedną czernią, a białka były brązowe. Na twarzy nie miał zmarszczek. Płócienny płaszcz podpiął na mosiężne guziki pod szyję zwyczajem ludzi, nie noszących koszul. Z rękawów wyłaniały się mocne, kościste przeguby i dłonie sekate i twarde, jak gałęzie brzoskwiniowe. Pannogię miał tępe, płaskie i błyszczące. Kiedy stanął naprzeciw Jody przy furtce, stary człowiek zrzucił worek z ramienia. Zadrżały mu wargi nim głos z nich wyszedł. Był to cichy, bezosobowy głos.

— Czy ty tu mieszkasz?

Jody był zakłopotany. Popatrzył na dom, potem odwrócił się w stronę stodół, gdzie był ojciec i Billy Buck. Kiedy pomoc nie nadeszła znikąd, odpowiedział:

— Tak.

— Wróciłem — powiedział starzec. — Jestem Gitano i wróciłem.

Jody nie chciał sam jeden ponosić konsekwencji tego spotkania. Nagle odwrócił się na pięcie i pobiegł do domu po odsiecz. Siatka przeciw insektom, oprawiona w ramę drzwi, klapnęła cicho za nim. Matka była zajęta w kuchni przedhubowaniem dziurek cedzidła przy pomocy szpilki od włosów, przyszywała przy tym dolną wargę w skupieniu.

— Przyszedł stary „pajsaño” — zawołał Jody z podnieceniem — i mówi, że wrócił!

Matka odłożyła cedzidło i zatknęła szpilkę od włosów za tył zlewu. Potem zapytała, pełna wyrozumiałości:

— Co się znowu stało?

— Przed domem stoi staruszek. Niech mamusia idzie.

— No więc czego chce? — rozwiązała fartuch i przyglądała palcami włosy.

— Nie wiem. Przyszedł pichota.

— Matka wyglądała suknie i wyszła, a Jody za nią. Gitano nie ruszył się z miejsca.

— Tak? — zapytała Mrs. Tiflin.

Gitano zdjął swój czarny, statygowany kapelusz i trzymał go przed sobą oburącz. Powtórzył:

— Nazywam się Gitano i wróciłem.

— Wróciłeś? Skąd?

Gitano na chwilę pochylił swe chude ciało ku przedowi. Prawą ręką zatoczył krąg wskazując wzgórze, pola na zboczach gór, potem ręką wróciła do ronda kapelusza.

— Spowrotem na rancze. Tu się urodziłem. Mój ojciec też.

— Tutaj? — domagała się wyjaśnienia.

— To nie jest stary dom.

— Nie, tam — wskazał na zachodnie pasmo — po drugiej stronie, w domu, którego już nie ma.

Nareszcie zrozumiała.

— Macie na myśli tę starą lepiankę, którą całkiem zmyło?

— Tak, senora. Kiedy rancza rozpadła się, przestano pobielać lepiankę i deszcze zmyły ją doszczętnie.

Matka milczała przez chwilę. Przez głowę przeleciały szybko dziwne tęsknoty za domem rodzinnym, ale odsunęła je od siebie szybko.

— A czego chcecie tutaj teraz, Gitano?

— Chcę zostać tu, dopóki nie umrę — powiedział spokojnie.

— Ale nam nie potrzeba drugiego parobka.

— Już nie mogę pracować ciężko, senora. Mogę doić krowę, karmić kurczęta, trochę narząbać drewna i nic więcej. Zostanę tutaj — i wskazując na worek u nóg swoich dodał:

— To są moje rzeczy.

Zwróciła się do Jody.

— Biegnij do stodół i zawołaj ojca.

— Jody pognął co sił. Kiedy wracał szli za nim Carl Tiflin i Billy Buck. Starzec stał jak poprzednio, ale odpoczywał. Ciało jego kłoniło się ku ostatecznemu spoczynkowi.

— Co się tu dzieje? Czemu Jody taki przejęty?

Mrs. Tiflin wskazała na starca.

— On chce z nami zostać. Może wykonać lekkie prace, gdyby tu został.

— No, ale my nie możemy go zatrzymać. Nie trzeba nam więcej pomocy. Jest za stary. Billy radzi sobie ze wszystkim zresztą sam.

Rozmawiali nad jego głową, jakby go wcale nie było, aż nagle ogarnęły ich wątpliwości i oboje spojrzawszy na Gitano, poczuli zakłopotanie.

— Odechnął.

— Jestem za stary, żeby pracować. Wróciłem, gdzie byłem urodzony.

— Tuś nie był urodzony — powiedział ostro Carl.

— Nie, w lepiance po drugiej stronie wzgórza. Wszystko to należało do jednej ranczy nim wyście przyszl.

— W tej lepiance, co to ją całkiem zmyło?

— Tak. Ja i mój ojciec. Teraz zostanę na ranczy.

— A ja ci powiem, że nie zostaniesz — oświadczył Carl ze złością — nie potrzeba mi tu starca. To jest niewielka rancza. Nie stać mnie na żywienie i płacenie rachunków za lekarza dla starca. Musisz mieć chyba krewnych i przyjaciół. Idź do nich. Przechodź do obcych, to tak, jakbyś zebrał.

— Tu się rodziłem — powtórzył cierpliwie a nieugięcie Gitano.

Carl Tiflin nie chciał być okrutny, ale czuł, że w tym wypadku musi.

— Dziś zjecie z nami kolację i prześpiacie się w małym pokoju w baraku. Damy wam śniadanie rano, a potem musicie sobie iść. Idźcie do przyjaciół. Nie przychodźcie umierać wśród obcych.

Gitano włożył kapelusz na głowę i schylił się po worek.

— Tu są moje rzeczy — powiedział.

Carl zawrócił.

— Chodź Billy, skończmy najpierw ze stodołą. Jody pokaż mu gdzie jest mały pokój w baraku.

Carl i Billy wrócili do stodoły. Mrs. Tiflin poszła do domu i powiedziała już z daleka:

— Zaraz przyślę koc.

Gitano popatrzył pytająco na Jody. Chłopiec uspokoił go:

— Pokażę panu gdzie.

Na łóżku leżał siennik z grochowinami, na skrzyni po jabłkach stała cynowa latarnia, a w środku izdebki był fotel na biegunach, bez oparcia. Gitano położył swój worek ostrożnie na podłodze i usiadł na łóżku. Jody nieśmiało zatrzymał się przy drzwiach i zastanowił się czy ma odejść. Wreszcie odezwał się:

— Czyście przyszli z wielkich gór?

— Nie. — Gitano zaprzeczył powolnym ruchem głowy. — Pracowałem w Salinas Valley.

Popołudniowe myśli wciąż jeszcze nie dawały Jody spokoju.

— Czyście kiedy byli w tych wielkich górach?

Stare, ciemne oczy znieruchomiały, zwróciwszy się wgląd własnej duszy, gdzie żyły jeszcze minione lata.

— Raz, kiedy byłem małym chłopcem. Poszedłem z ojcem.

— Tam daleko, prosto w góry?

— Tak.

— Co tam było? — Jody był bardzo podniecony. — Czy widzieliście ludzi i domy?

— Nie.

— Wiec co?

Oczy Gitano wciąż patrzyły w przeszły czas. Małeńka zmarszczka wysiłku ukazała się między brwiami.

— Coście tam widzieli? — Jody napierał się.

— Nie wiem — powiedział Gitano — nie pamiętam.

— Czy było tam sucho i strasznie?

— Nie pamiętam.

Z podniecenia Jody zapomniał o wstydzie.

— Czy nie pamiętacie nic z tego?

Usta Gitano rozchyliły się, ale słowo nie przychodziło — wargi pozostały otwarte, gdy mózg dobierał słów.

— Myślę, że było cicho. Myślę, że było pięknie.

Oczy Gitano musiały dostrzec coś w przeszłych latach, bo wyraz ich stał się łagodny i coś nakształt uśmiechu pojawiło się w nich przelotnie.

— Czy jeszcze kiedy potem byliście w górach? — nastawał Jody.

— Nie.

— Czyście kiedy chcieli?

Ale nagle zniecierpliwienie ukazało się na twarzy Gitano. Powiedział więc tonem, mającym wyrazić, że o tym nie chce więcej mówić:

— Nie.

Chłopiec stał zafascynowany. Nie chciał odejść od Gitano. Wróciło onieśmielenie.

— Czy chcielibyście pójść ze mną do stodoły i zobaczyć bydło? — zaproponował.

Gitano podniósł się gotów do wyjścia.

Był już prawie wieczór. Stali przy korycie, do którego powoli przychodziły konie ze zboczy gór do wieczornego wodopoi. Gitano oparł wielką, sekątką dłoń o sztachety ogrodzenia. Pięć koni przyszło do wodopoi. Napili się, a potem kręciły się przez chwilę w pobliżu, gryzły krótką trawę, ocierały się o gładkie sztachety ogrodzenia. Długo potem, kiedy jeden koni napilo się z korytka, ukazał się na grzbiecie wzgórza stary koń, który z trudem scho-

dził w dół. Miał długie, żółte zęby i kości biodrowe wystawały mu ostro pod skórą. Przywlokł się do korytka i pił wodę, wciągając ją głośnymi haustami.

— To stary Easter — objaśnił Jody. — Jest to pierwszy koń jakiegoś mój ojciec kupił. Ma już trzydzieści lat. — Spojrzał w oczy Gitano spodziewając się odpowiedzi.

— Już do niczego — przyznał Gitano. Ojciec Jody i Billy Buck wyszli ze stodoły i szli ku nim.

— Za stary do roboty — powtórzył Gitano — tylko i raz-dwa umrze.

Carl Tiflin usłyszał ostatnie słowa. Wstyd mu było brutalności, okazanej wobec Gitano. Wciąż znowu był brutalny.

— Wstyd, że dotychczas nie zastrzeliłem Easter. Oszczędziłoby mu to wiele bólu i reumatyzmu — rzucił szybkie spojrzenie na Gitano, żeby sprawdzić, czy rozumiał przenośnię, ale wielkie kościste ręce nie poruszyły się, ani spokojny wzrok nie oderwał się od konia.

— Powinno się skraćć mękę starym zwierzętom — ciągnął dalej ojciec. Jeden strzał, jeden wielki huk, może jeden ból głowy i po wszystkim. Lepsze to niż sztywność członków i ból zębów.

— Starzy mają prawo odpoczywać na starość, kiedy całe życie naharowali się — wtrącił Billy Buck — Potem chcieliby tylko położyć sobie w spokoju.

Carl niewzruszenie przypatrywał się chudemu koniowi.

— Nie możesz sobie dziś wyobrazić jak dawniej wyglądał Easter — powiedział cicho — długa szyja, wspaniała pierś, piękne kłęby. Umiął skakać przez pięć po-przezkie bramy z rozpedu. Wygrałem na nim wyścig płaski, kiedy miał piętnaście lat. Mogłem być dostać za niego dwieście dolarów, gdybym tylko chciał. Nie zgadli-byście, jaki był piękny — zatrzymał się nagle, bo nienawidził słabości. — Ale teraz już najwyższy czas, żeby go zastrzelić — zakończył.



— Zasłużył sobie na wypoczynek — obśtawał przy swoim Billy Buck.

Ojcu Jody przysła do głowy zabawna myśl. Zwrócił się do Gitano:

— Gdyby jajecznica na boczku też rosta na łące, pozwoliłbym ci zostać na naszym pastwisku. Ale nie stać mnie na odpasanie ciebie w naszej kuchni.

Mówił o tym jeszcze w drodze do domu, do Billa:

— Dobrze by było, żeby jajecznica na szynce zechciała rosnąć na stokach gór!

Jody wiedział, że ojciec sonduje Gitano, gdzie by go uraził najłatwiej. Jego samego ojciec nieraz poddawał takiej próbie. Ojciec wiedział gdzie, kiedy i jakim słowem można chłopca urazić najboleśniej.

— On tak tylko sobie mówi — powiedział Jody — On wcale nie myśli zabijać Easter, bo go lubi. To jest pierwszy koń, jakiego w życiu miał.

Kiedy tak stali, słońce kryło się za wysokimi górami, cisza zapadała na ranczy. Gitano czuł się swobodniejszy wieczorem. Wydawał dziwnie ostre dźwięki wargami i wyciągał rękę poprzez ogrodzenie. Stary Easter podszedł sztywno do niego i Gitano pogłaskał wychudzoną szyję pod grzywą.

— Podoba się wam? — spytał cicho Jody?

— Tak, ale on już jest do niczego.

Od strony domu zabrzmiął gong.

— Kolacja — zawołał Jody — chodźcie na kolację.

Kiedy szli do domu, Jody jeszcze raz zauważył, że Gitano trzyma się prosto jak młody chłopak. Tylko ostre ruchy i pociąganie nóg zdradzały, że jest już stary.

Indyki sfrunęły na dolne gąszenie cyprysu, koło baraku. Wyłazły tusty kot włókł w zębach tak wielkiego szczura, że szczurzym ośmieniem zamiatał podwórze, kiedy szedł. Przepiórki na stokach pagórka wydawały wciąż jeszcze ostre dźwięki.

Jody i Gitano podeszli do kuchennego wejścia, a Mrs. Tiflin przysłała się im przez siatkę przeciw owadom.

Biegiem, Jody! Chodźcie na kolację, Gitano.

Carl i Billy Buck zaczęli już jeść przy długim stole, pokrytym ceratą. Jody wsunął się na swoje miejsce nie ruszając krzesła z miejsca, ale Gitano stał z kapeluszem w rękach, dopóki Carl nie powiedział:

— Siadajcie, siadajcie. Możecie równie dobrze napchać kałdun nim stąd pójdzie-

cie. — Carl bał się, że może zmieknąć i pozwolić staremu zostać, więc przekonywał samego siebie nadal, że tak być nie może. Gitano położył kapelusz na podłodze i pełen nieufności usiadł. Nie sięgał po strawę. Carl podsunął mu.

— Masz, naćpaj się.

Gitano jadł powoli, krajając mięso na małe kawałki i nabierając tłuczonych kartofli niewielkimi grudkami.

Sytuacja nie przestawała nastęrczać kłopotów. Carl Tiflin zapytał:

— Nie macie żadnych krewnych w tych stronach?

Gitano odparł z dumą:

— Mój szwagier mieszka w Monterey. Mam tam też kuzynów.

— No to przecież możecie iść do nich.

— Tutaj się urodziłem — powiedział Gitano z łagodnym wyrzutem.

Matka wniosła z kuchni miskę budyniu tapiokowego. Carl zaśmiał się na jej widok.

— Czy powtórzyłem ci już, co mu powiedziałem? Mówiłem, że gdyby na pagórkach rosła jajecznica z szynką, puściłbym go na pastwisko tak, jak starego Easter.

Gitano nie odrywał oczu od talerza.

— Szkoda, że nie może zostać — powiedział Mrs. Tiflin.

— Tylko ty nie zaczynaj — zaperzył się Carl.

Po skończonym posiłku Carl, Billy Buck i Jody przeszli do bawialni, żeby chwilę posiedzieć tam, ale Gitano bez słowa podziękii ni pożegnania wyszedł przez kuchnię na dwór. Jody usiadł i spod oka obserwował ojca. Wiedział jak w tej chwili ojciec gardził sobą.

— Ten kraj jest pełen starych „paisanos“ — Carl zwrócił się do Billy.

— Diabło dobrych z nich ludzi — bronił Billy Buck. — Więcej lat nadają się do pracy niż biali ludzie. Wiedziałem jednego, co miał sto pięć lat i jeszcze jeździł konno. Nie zdarza się, żeby biały w tym wieku co Gitano mógł jeszcze przejść dwadzieścia, czy trzydzieści mil.

— Są wytrzymali, to im trzeba przyznać — zgodził się Carl. — Powiedz no, czy i ty za nim stoisz? Słuchaj Billy, — tłumaczył się — dosyć mi trudno utrzymać ranczę w stanie niezadłużonym bez przyjmowania jeszcze jednej gęby do wyżywienia. Sam wiesz o tym.

— Pewno, że wiem — przyznał Billy. — Jakbyście byli bogaci, to by było inaczej.

— Racja. I nie bez tego, że ma rodzinę przeć. Szwagier i kuzyni tuż, w Monterey. Czego mam się ja o niego martwić?

Jody siedział milczący, słuchając rozmowy i wydawało mu się, że słyszy łagodny głos Gitano i jego bez odpowiedzi zostawione: „Ale ja się tu urodziłem“. Gitano był tajemniczy, jak góry. Pasma gór, gdzie okiem sięgnąć, ale za ostatnim łańcuchem gór, widniejących na krańcu horyzontu, rozciągał się wielki, nieznaną kraj i Gitano był starym, jak inni, dopóki nie spojrzysz w jego ciemne, smutne oczy. Za nimi kryło się nieznanie. W jego skąpych słowach niesposób było znaleźć klucz do tego, co poza oczami kryło się. Jody poczuł, że nieprzeparta siła ciągnie go do baraku. Ześlizgnął się bezszelestnie z krzesła i w czasie, gdy jego ojciec mówił do Billy, wysunął się z pokoju. Czyste powietrze ciemnej nocy przynosiło wyraźne, dalekie dźwięki. Gdzieś zza wzgórz, słychać było dzwonki zaprzęgu wołów na drodze. Jody przeszedł przez podwórze. Widział światło w oknie małego pokoju baraku. Noc była tajemnicza, więc i Jody poruszał się cicho idąc ku oknu. Zerknął do środka. Gitano siedział na fotelu na biegunach, zwrócony plecami ku oknu. Powoli przesunął prawą rękę przed sobą od i do siebie. Jody popchnął drzwi i wszedł. Gitano podwrwał się na równe nogi i chwytając kawał jeleniej skórki, usiłował przykryć nią coś, co trzymał na kolanach, ale skóra obsunęła się na ziemię. Jody osłupiał na widok tego, co Gitano trzymał w dłoni. Był to piękny, cienki rapier ze złotym koszyczkiem rękojeści. Ostrze miało on niczym cienki promyk ciemnego światła. Rękojeść była rzeźbiona w zawiły wzór.

— Co to jest? — dopominał się wyjaśnienia Jody.

Gitano popatrzył nań niechętnym wzrokiem tylko i podniósł opuszczoną skórę, po czym owinął nią ciasno piękne ostrze.

Jody wyciągnął rękę.

— Czy mogę go zobaczyć?

Oczy Gitano zaświeciły złym blaskiem, zaprzeczył ruchem głowy.

— Skąd się to bierze? Skąd wy to macie?

Gitano popatrzył na niego głęboko, jak gdyby zastanawiając się.

— Dostałem od ojca.

— A skąd on go wziął?

Gitano wpatrywał się przez chwilę w długi pakunek zawinięty w jelenią skórę.

— Nie wiem.

— Czy wam kiedy o tym mówił?

— Nie.

— Co wy z tym zrobicie?

Gitano wydawał się dziwić pytaniu.

— Nic. Mam.

— Czy mógłbym to jeszcze raz zobaczyć?

Starzec powoli odwinął połyskującą klingę, pozwalając światłu lampy ślizgać się po ostrzu przez chwilę. Potem zapałkował z powrotem.

— Idź już. Chcę się położyć.

Zdmuchnął lampę jeszcze nim Jody zdążył zamknąć za sobą drzwi. Kiedy wracał do domu, uprzytomnił sobie jaśniej niż kiedykolwiek przedtem, że nie wolno nikomu mówić o tym rapierze. Stałoby się coś okropnego, gdyby mówiąc o rapierze zburzyło się tajemny, kruchy układ prawdy. Była to prawda, którą rozbieranie na kawałki mogłoby zniweczyć. Na ciemnym dziedzińcu Jody minął Billy Buck. Billy powiedział:

— Nie wiesz gdzie jesteś.

Jody wślizgnął się do bawialni i ojciec zwrócił się do niego:

— Gdzieś był?

— Poszedłem tylko sprawdzić, czy jakiś szczur nie złapał się w nową pułapkę.

— Na ciebie czas spać, — powiedział ojciec.

Jody przyszedł rano pierwszy na śniadanie. Potem ojciec, w końcu Billy Buck. Mrs. Tiflin zabrała z kuchni.

— Nie widziałeś starca, Billy? — zapytała.

— Pewno poszedł się przejść. Zaglądałem do niego i pokój jest pusty.

— Może wyruszył wcześniej do Monterey — powiedział Carl — to daleka droga.

— Nie, — zapewniał Billy, — jego worek jest w pokoju.

Po śniadaniu poszedł Jody do baraku. W blasku słońca krążyły muchy. Tęgo ranka rancza wydawała się specjalnie cicha. Przekonawszy się, że nikt go nie widzi, Jody wpadł do małego pokoiku i zajął do worka Gitano. Para długich, bawełnianych kaletonów leżała wewnątrz wraz z zapasową parą płóciennych spodni i trzema parami zniszczonych skarpet. Niczego więcej nie było w worku. Uczucie nagle uświadomionej samotności ogarnęło Jody. Powoli wrócił do domu. Na ganku ojciec rozmawiał z matką.

— Widzi mi się, że stary Easter wreszcie umarł, — mówił — nie widziałem go dziś przy wodopoiu z resztą koni.

Około południa przyjechał z sąsiedniej ranczy, z drugiej strony góry, Jess Taylor.

— Nie sprzedaliście chyba waszej siwej przynęty na wrony, co, Carl?

— Nie, oczywiście, że nie. A bo co?

— Wiecie, — powiedział Jess, — wstałem dziś wcześniej rano i zobaczyłem coś bardzo dziwnego. Widziałem starego chłopca na starym, niesiodlanym koniu, miał tylko kawał sznura zamiast uzdy. Nie jechał traktem, tylko naprzelał, przez krzewy. Wydaje mi się, że musiał mieć strzelbę. W każdym razie miał w ręku coś błyszczącego.

— To musiał być stary Gitano, — uznał Carl Tiflin. — Muszę sprawdzić czy nie brak mi którejś strzelby. — Wszedł do domu na krótką chwilę, ale wyszedł zaraz.

— Nie. Wszystkie są. W którą stronę, powiadasz Jess, że szedł?

— Właśnie to wydało mi się dziwne. Zmierział prosto w góry.

— Ci nigdy nie są za starzy, żeby kraść — roześmiał się Carl — po prostu ukradł mi starego Easter!

— Chcesz go ściagać, Carl?

— Nie, do licha! Oszczędził mi tylko pogrzebu. Ciekawym skąd wygrzebał tę strzelbę. I czego on tam szuka.

Bruzda między jarzynami Jody podążał ku zaroślom. Patrząc szukającym wzrokiem po spiętrzonych górach; łańcuch gór za łańcuchem gór, a w końcu ocean. Przez chwilę wydawało mu się, że zoczył czarną plamę wspinającą się na jeden ze szczytów. Nagła tęsknota nawiedziła jego serce z taką siłą, że zapragnął płakać, by ją z piersi wyrwać. Położył się w trawie zielonej, w pobliżu zbiornika, niedaleko krzewów. Wtulił oczy w skrzyżowane ramiona i leżał bardzo długo. Napelniał go nieznany smutek.

John Steinbeck
Tłumaczyła Teresa Czarkowska



MARIAN PODKOWIŃSKI

UKARTOWANY NIEPÓKOJ

Berlin, w czerwcu 1948
I.

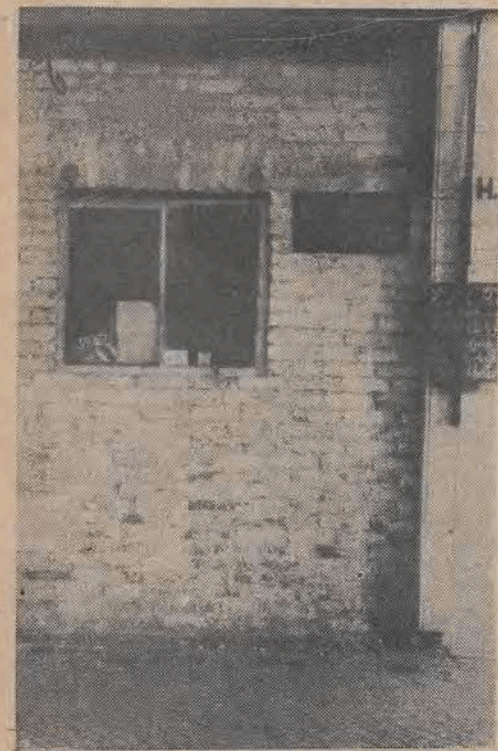
DRUGA BITWA o Berlin zakończyła się ponownie niepowodzeniem Anglosasów. Po trzech dniach dramatycznego oczekiwania na rezultaty sztucznie wywołanych krótkich śpieć politycznych, nastroje panikarskie rozplynęły się w kwietniowym deszczu, pozostawiając jedynie ślad na „czarnym rynku”. Był to zdaje się w ogóle jedyny rezultat „kampanii o Berlin”.

Opublikowana obszerna korespondencja między generałami Dratwinem — z zarządu radzieckiego — a Brownjohnem i Gaileym, wykazała bardzo wyraźnie po czyjej stronie była racja. Władzom radzieckim nigdy bowiem nie chodziło o to, aby utrudniać czy szkanować pasażerów, względnie transporty żywności, ale po prostu o ukrócenie nielegalnego handlu międzystrzefowego.

Stwierdzono bowiem, że w jednym tylko tygodniu marca wysłano nielegalnie z Berlina 790 wagonów maszyn i surowców do stref zachodnich. Tego rodzaju szaber, rowadzi do osłabienia potencjału gospodarczego strefy wschodniej, na co naturalnie władze radzieckie nie mogą się zgodzić. Zostało również stwierdzone, że w pociągach alianckich przewozi się towary niemieckie. I tak np. 25 marca zatrzymano na granicznej stacji Marienborn sześć wagonów nowych mebli, którymi „opiekowali” się oficerowie brytyjscy.

Przykłady takie można by cytować w nieskończoność.

To samo dotyczy nielegalnego przejazdu Niemców pociągami alianckimi. Pasażer niemiecki bowiem może korzystać tylko z pociągów cywilnych oraz musi być w posiadaniu specjalnej przepustki międzystrzefowej t. zw. *Interzonenpassu*. Tymczasem, jak niejednokrotnie już stwierdzono, prawie każdy pociąg wojskowy zabiera „zaprzysiężonych” Niemców do Hamburga i Frankfurtu. Tą właśnie drogą odbywał się „przemyt” polityków niemieckich i wszelakiego autoramentu agentów — w obie strony Niemiec.



Tak wygląda przeciętny sklep żywnościowy

Kurtuazja władz radzieckich została więc — w sposób wręcz nieprzyzwoity — wielokrotnie nadużyta. Rosjanie nie mogli dłużej pozwolić, aby na terenie ich strefy — choćby i na t. zw. międzynarodowej autostradzie, działały się rzeczy groźne dla bezpieczeństwa strefy wschodniej. Ostatnie zaś aresztowania szpiegów i sabrowników na wielką skalę, którzy wielokrotnie przekraczali „zieloną” granicę stref, przyczyniły się w znacznym stopniu do zaostrożenia przepisów. Zarząd wojskowy strefy radzieckiej postanowił skoryzować jedynie z przysługujących mu praw kontroli ruchu granicznego, skoro kurtuazja, stosowana wobec aliantów, w gruncie rzeczy stawała się dobrodziejstwem dla podejrzanych elementów niemieckich.

Oczywiście, że aliansi podnieśli krzyk. Nie mogli przecież kompromitować się milczeniem i spokojnie. Denerwował ich zwłaszcza fakt, że nie mieli racji. Amerykanie, powracający ze swej strefy, twierdzili zgodnie, że sowiecka kontrola na szosie była pełna kurtuazji i ograniczała się wyłącznie do sprawdzenia paszportu. Respektowano również pociągi z żywnością dla wojsk okupacyjnych w Berlinie. Nie przepuszczano jedynie Niemców.

Ponieważ trudno było oficjalnie przyznać się do popełnionych gaff, zachodni aliansi chwycili się innego środka, aby ratować swój prestiż. Napuścili prasę i to zarówno własną jak i niemiecką. Sytuacja stała się tak nieznosna, że bardziej rozsądni spośród Anglosasów, jak choćby wymieniony już generał Brownjohn, zastępca brytyjskiego gubernatora w Niemczech, stale podkreślali, że prasa zagraniczna niepotrzebnie zrobiła tyle hałasu o nic. Z depech niektórych korespondentów — powiedział ów generał — możnaby wynios-



Uliczna sprzedaż parówek... ale z kartofli

kować, że Berlin stoi w obliczu przygotowań wojennych. „Sami dobrze wiecie, że Berlin nie jest jakimś obleżonym garnizonem — flu-maczył „gorącym głowom” Brownjohn — i że nowe zarządzenia radzieckie nie zawierają w sobie nic takiego, co by nie pozwalało osobom względnie transportom o legalnych papierach poruszać się swobodnie wzdłuż strefy radzieckiej”.

Prasa dostała wprawdzie po nosie, ale nie zapomniiała przykazań wujaszka Marshalla. Czekala więc na inną okazję, aby się odegrać. A przecież tak niewiele potrzeba do eksplozji, gdy atmosfera naładowana jest politycznym prądem i to wysokiego napięcia. Iskłą tą był tragiczny wypadek samolotowy w Berlinie. Nad lotniskiem brytyjskim Gatow zderzył się myśliwiec radziecki (typu „Jak”) z pasażerską maszyną typu „Viking” lecącą z Londynu do Berlina. Oba samoloty rozbiły się w powietrzu, powodując śmierć piętnastu osób.

W normalnych czasach byłaby to zwykła katastrofa lotnicza, jakich teraz wiele. W obecnych warunkach niemieckich tragedia ta urosła nagle do rozmiarów politycznej prowokacji.

Bawiący przypadkowo w Berlinie brytyjski minister lotnictwa, Henderson najlepiej zdaje się określił sytuację, jaka wytworzyła się po tym tragicznym wypadku samolotowym w Berlinie. Henderson bawił tutaj na inspekcji jednostek RAF. Na konferencji prasowej w klubie oficerskim, mieszczącym się właśnie na lotnisku Gatow, gdzie miał miejsce tragiczny wypadek, minister brytyjskiej awiacji powiedział do dziennikarzy:

— Gdy czytam prasę brytyjską odnoszę wrażenie, że stoimy prawie że przed zbrojnym konfliktem. Gdy jestem w Berlinie — z przyjemnością stwierdzam, że panuje tu spokój, jakiego brak w Londynie. Powinniśmy w decydujących nawet chwilach wykazywać więcej niż zwykle spokoju. Niestety, prasa utraciła równowagę...

II.

Gdy w ów „czarny poniedziałek”, 5 kwietnia — tegoż dnia w południe rozbiły się niebezpieczne samoloty nad Berlinem — zadzwonił nagle o dwunastej w nocy telefon na mój biurko, sądziłem, że to pewno jakiś późniejszy kolega po piórze pragnie wypić kieliszek brandy w naszym klubie. Tyle pracy! Cały zatopiony w lekturze pamiętników Goebbelsa — ileż ciekawych porównań! — poderwałem się na dźwięk aparatu.

Dzwoniła telefonistka z amerykańskiego Press Centru, ponuro komunikując zaspianym głosem:

— O godzinie 12.15 w nocy odbędzie się w brytyjskim klubie prasowym konferencja w sprawie zderzenia samolotów w Gatow. Generał Robertson, gubernator brytyjski w Niemczech, udał się pod konwojem do Babelsbergu, gdzie założył ostry protest u marszałka Sokolowskiego. Do tego czasu wszystkie samoloty pasażerskie eskortowane będą przez myśliwców. Generał Clay przyłączył się do akcji generała Robertsona...

Czasu było niewiele. Gdy przycwalałem do Klubu, dom był rześko oświetlony i wszędzie panował niezmierny ruch. Sefka dziennikarzy z całego świata czekała niecierpliwie na wynik konferencji w Babelsbergu. Gdzieś dopiero o pier-



Między minami powstają eleganckie lokale kawiarniane

wszej w nocy zjawił się oficer prasowy kwatery brytyjskiej. Gdy wykladał swe papiery na stole, oczy zebranych skierowane były wyłącznie na usta tego człowieka w oczekiwaniu, że lada moment padną z nich dwa słowa: zerwanie stosunków.

Tymczasem oficer brytyjski oświadczył zupełnie spokojnym głosem, że marszałek Sokolowski przyjął natychmiast gubernatora brytyjskiego i wyraził mu swe ubolewanie, przyrzekając wszcząć śledztwo oraz dopuścić brytyjskich ekspertów na miejsce wypadku. Samolot brytyjski rozbił się bowiem na terenie radzieckiego sektora Berlina, w pobliżu Dalgow. Robertson przyjął to oświadczenie i odjechał.

Po tych słowach rzecznika prasowego dojrzałem na twarzach wielu dziennikarzy wyraz rozczarowania. Czyż po to więc zrywali się o północy? Czyż po to kablowali zawczasu swym redakcjom, że za chwilę podadzą sensacyjną wiadomość, aby teraz wrócić do domu z uspakajającym komunikatem, tj. w ich pojęciu — z niczym? Przekleństwa sypały się na głowę biednego oficera, który powrócił z Babelsbergu, aby uspokoić świat.

Gdy więc nazajutrz odbyła się konferencja prasowa u ministra Hendersona, większość pytań skoncentrowana była dookoła jednego tematu: czy przyjechał on do Berlina po to, aby przekonać się o sile RAF i czy sądzi, że wypadek samolotowy w Gatow będzie miał wpływ na wzmocnienie garnizonów lotniczych w Niemczech? I czy prawdą jest, że brytyjski minister lotnictwa przyjechał koleją do Berlina, a nie — jak należy — samolotem?

Biedny minister awiacji nie mógł się po prostu opędzić od tych pytań, jak od złych much. Oświadczył tylko, że w programie — który zresztą pokazał wszystkim, a drukowanym jeszcze przed trzema tygodniami — był przewidziany jego przyjazd koleją oraz że jest w Berlinie tylko po to, aby przekonać się o materialnym położeniu załóg lotniczych. Zaznaczył przy tym, że nigdzie na świecie RAF nie ma lepszych warunków i wygod, niż właśnie w Berlinie. A co do bezpieczeństwa w powietrzu, to pragnie dodać, że również marszałek Montgomery przybył do Berlina bez żadnej asysty myśliwskiej, a on sam, Henderson, udaje się wnet samolotem i to bez eskorty do Londynu.

A więc i tym razem dziennikarze — łowcy wojennej sensacji — odeszli z kwitkiem.

Może wreszcie w swych korespondencjach zajmą się bardziej poważnym problemem, niż wojna — sprawa narodu niemieckiego.

Bo po to ostatecznie sa w Niemczech.

III.

Ogłoszenie „zaleceń” konferencji sześciu państw w Londynie w sprawie przyszłości Niemiec, wywołało tutaj jedynie zamieszanie, chaos i niepokój. Zarówno na skrajnej prawicy, jak i na lewym skrzydle politycznego myślenia, Niemcy nie szczędzili słów krytyki, a nawet oburzenia, zgodnie potępiając zbawienne rady londyńskiego gremium. Podczas gdy prezydium Volksratu zmanifestowało swój sprzeciw oficjalnym pismem do Rady Kontroli, politycy Bizoni uczynili to wprawdzie nieoficjalnie, ale dość jasno za pośrednictwem swej prasy.

Najbardziej „prawym z prawych” dr Konrad Adenauer, przywódca niemieckich chadeków (CDU), którego uważa się powszechnie za ojca chrześcijańskiego Bizoni — jego pupil dr Pünder jest przecież premierem tego sztucznego tworu państwowego — nie tań bynajmniej swego rozczarowania. Odrzucając „zalecenia” londyńskie, Adenauer oświadczył prasie, że i tym razem chodzi tutaj jedynie o supremację okupantów nad narodem niemieckim. Widocznie Niemcy — powiada niejako — rezygnacją przywódcy CDU — nigdy już nie będą równouprawnionym członkiem wielkiej rodziny europejskich narodów...

Nie tylko zresztą Adenauer jest pesymistą. Jest nim również i drugi potentat Bizoni, dr Köhler, prezydent Rady Gospodarczej, uchodzącej za parlament połączonych stref anglo-saskich.

Dr Köhler oświadczył wyraźnie:

„Nie pragniemy bynajmniej ani „zachodnio-niemieckiego” rządu, ani rządu „zjednoczonych stref”, ale chcemy po prostu rządu niemieckiego ze stolicą we Frankfurcie. Dla usymbolizowania j. dności Niemiec należałoby wprowadzić do tego rządu dwóch znanych polityków z Berlina jako ministrów bez teki”.

Wpływowy polityk CDU, dr Gereke, b. minister weimarskiej Rzeszy, na wieść o uchwałach londyńskiej szóstki, tak wyraził się na ogólnym kongresie chadek niemieckiej w Lingen:

„Skoro w trzy lata po Poczdamie okupanci nie mogli pojechać w sprawie przyszłych losów Niemiec, my Niemcy mamy zupełne prawo sami zająć się naszymi sprawami. Przekonanie nasze jest tym głębsze, im bardziej napróżd posuwa się podział Niemiec na sfery interesów poszczególnych okupantów...”

Umyślnie cytowałem powyżej wypowiedź polityków CDU, gdyż ci właśnie ludzie odpowiedzialni są przed narodem niemieckim za nową próbę Wersalu i Weimaru. Znałe jest powszechnie stanowisko młodej demokracji niemieckiej i Związku Radzieckiego w sprawie j. dności Niemiec, centralnego rządu niemieckiego, wyborów do parlamentu i wycofania wojsk okupacyjnych z Niemiec.

Idea j. dności państwowej Niemiec wyszła z kół lewicy i znalazła uznanie na wschodzie. Niemieckie kółka nacjonalistyczne przestra-



Pomysłowa konstrukcja oszczędnościowego samochodziku o sile 3 koni mechanicznych

szyły się „konika j. dności”, widząc w nim — i słusznie — zapędy do ostatecznej likwidacji kapitalizmu w Niemczech.

Panowie Pferdenges, Siemens, Reutisch, Buchmann i Stinnes — że wyliczę tych kilku spośród legionu wiernych sług złotego cielca — nie po to sprzedawali swoje akcje agentom Wall Street, aby w końcu zrezygnować z prymatu w Niemczech. Zaoferowali wobec tego swe usługi gubernatorom Bizoni, licząc na wdzięczność z ich strony. Tymczasem przyszło rozczarowanie. „Zalecenia” londyńskie okazały się, praktycznie biorąc, nowym rozbiorem Niemiec, a „internacjonalizacją” Zagłębia Ruhry — po prostu aneksją zbrojowni Hitlera do Zachodniego Bloku.

Niemcy zostali odstawieni „od żłobu”. I to wszystko w nagrodę za wojnę ze wschodem, rezygnację z prymatu w przemyśle na rzecz Ameryki itp. koncesje, na które nie mógłby się zgodzić żaden przyzwoity Niemiec, pragnący wreszcie demokratycznej odbudowy swego zniszczonego kraju.

„Zalecenia” londyńskie przyniosły jedynie ten efekt, że skompromitowały w oczach szarych ludzi niemieckiej ulicy całą ową politykę „samodzielną Niemiec”, raję krajiny



Na Kurfürstendamm nie brak wytwornych magazynów

„Chesterfieldów” i „gorzkiej” czekolady. Pokazały im, że gdy chodzi o przypodobanie się np. Beneluxowi, pan Marshall gotów jest nawet do koncesji terytorialnych kosztem Niemiec na zachodzie i to w tym samym czasie, gdy agenci jego judzą przeciwko polskim granicom na wschodzie. Mały Michel czy uporczywie szukająca chleba Frieda pojeły wreszcie cenę Frankfurtu jako stolicy „wolnych” Niemiec.

Popularny felietonista bynajmniej nie sympatyzującego ze wschodem dziennika berlińskiego „Der Kurier”, Hans Kasper, powiada na temat Londynu:

„Mój przyjaciel zatroskany jest „zaleceniami” konferencji londyńskiej.

— Ależ, drogi przyjacielu — powiadam mu — nie daj się nabrać, przecież ten dokument jest nieprawdopodobny!

— No, dobrze, a co pan uważa...?

— Człowieku — powiadam — czyż nie widzisz, że to komunistyczny fałszyfikat, ot, po prostu propaganda za Kongresem Ludowym i jego plebiscytem...

— Ach tak, — odetchnął mój przyjaciel z ulgą — oczywiście! I co za prymityw, nieprawdaż?”

Tak vox populi przyjął „zalecenia” londyńskie p. Marshalla.

Marian Podkowiński

ANATOL ESTRYN

ilustrowała Regina Kańska

(Tanger)

NA SZLAKACH PANARABIZMU^{*)}

PONAD DZIELNICĄ arabską Tangeru na wzgórzu, którego zbocze spada stromo ku morzu, wznosi się zamek warowny — Kasba. Już oddawna Kasba nie jest siedzibą władz sultanskich. Obecnie znajduje się tam wężenie miejskie, a w jednym ze skrzydeł zainstalowano miejscowe ubożuchne muzeum. W kilku komnatach jednego z pawilonów urządzono kawiarnię arabską. Przyjacieli mój, muzulmanin, wpatruje się w wyraźnie zarysowany hiszpański brzeg zatoki gibraltarskiej.

— Morze zawsze łączyło narody, morze to droga łatwa do przebycia, — mówi powoli. — prawdziwy ocean nie do przebycia to pustynia. Niezmierzona jest pustynia. Od Oceanu Indyjskiego poprzez półwysep arabski ciągnie się aż do wrót Palestyny, okręga ją od wschodu, by zatrzymać się w dolinie Tygrysu i Eufratu. Przeskakuje przez morze Czerwone i ciągnie aż do Atlantyku poprzez całą Afrykę Północną, zostawiając jedynie wąski pas nadbrzeżny, a gdzieś tam docho-
dząc do samego morza. Oto Wschód. Wśród pustyni tryska źródło lub plynie rzeka i oto wykwiła rajski ogród: oaza. Nad brzegami morza wielobarwne i wieloetapowe miasta. Dla zrozumienia różnic między Wschodem i Zachodem, dla zrozumienia dlaczego nale-
żymy do odrębnych formacji społecznych, dlaczego kultury nasze są niewspółmierne, dlaczego wreszcie Zachód nie potrafił się nigdy wszczepić w teren Wschodu i naod-
wrot, należy rozpocząć od tego środowiska, w jakim żyje i rozwija się człowiek, od geo-
grafii. Pustynia wyjaśnia wszystko, pusty-
nia to sam na sam z Bogiem, pustynia to bezwład rozpalonego południa, to kontempla-
cja na grzbiecie miarowo kołyszącego się w karawanie dromadara pustyni to poezja wieczornej pieśni, to natchnione strofy pro-
ków, to wizja objawienia. Pustynia to jeź-
dziec na wzgórzu. Bóg nie dał mu dóbr ani bogactw, lecz dał mu cztery dary bezcenne: burnus, który lepiej okrywa niż najwspanialsze szaty, namiot wygodniejszy niż pałac, ostrą szablę i wreszcie dar najwspanialszy: dar pieśni, w której człowiek pustyni odnaj-
duje swą duszę. Jeździec na wzgórzu patrzy w dal: tam kwitną oazy, tam nurzą się w przepychu bogate miasta. Bóg nie dał mu bogactw, lecz dał mu szablę. Bogactwa przy-
nieśli mu szablę, miasta stanęły się jego łupem.

Oczy mego przyjaciela zaiskrzyły się. Nie poznawałem go niemal. Inteligentista prze-
radzał się w poetę. Ale wnet wrócił do swego zwykłego tonu.



— Oto różnica między nami — rzucił. — Wschód to pustynia, oazy i miasta. Historia Europy to dzieje ludów osiadłych. Historia Wschodu to ścieranie się koczowniców, dzie-
ci pustyni z osiadłą ludnością oaz. Miejskie w przeszłości wędrowni plemion germań-
skich i innych, lecz wędrowniaka taka to zja-
wisko wyjątkowe, niemal katastrofa w dzie-
jach plemienia, które szuka nowych terenów. Na Wschodzie koczownictwo jest zjawiskiem
normalnym, codziennym. Więcej nawet: ko-
czownictwo jest przodującym elementem
Wschodu. Życie polityczne Wschodu jest
tworem nomadów, kultura Wschodu nosi na
sobie piętno niezatarte nomadizmu.

— A Egipt, Chaldea, Izrael?
— Egipt i Chaldea to dwie wielkie oazy, otoczone pustynią, skąd groza niebezpieczeń-
stwa. Egipt jest oazą wyjątkowo trudno do-
stępną — właściwie dostępną tylko od morza. Druga wojna światowa potwierdziła zresztą
nieodstępność Egiptu — walki odbywały się
wzdłuż wąskiego nadbrzeżnego pasa. Dlatego
też w Egipcie mogła powstać i trwać dość
długo, stworzona przez ludność osiadłą, spe-
cjalna cywilizacja. Ale i ta cywilizacja w
istocie była tworem przez koczowniczych
najeźdźców, tylko, że ci najeźdźcy szybko za-
mieniali się w ludność osiadłą. Egipt po-
twierdził historyczną prawdę, że mieszkancie
oazy jest niemal bezbronny wobec koczow-
nika, jest jego naturalnym łupem. Egipt na-
padnięty, zawsze ulegał. Nie potrafił się
oprzeć ani najazdowi semickich Hyksosów,
ani azjatycko-greckich armii Aleksandra, ani
Arabów. Okoliczność, że najazdy te były dość
rzadkie, to już specjalna szansa geograficz-
na — historyczna. Każdy taki najazd zmienił
całkowicie oblicze Egiptu: powstawała nowa
kultura, oparta na elementach przyniesionych
przez zdobywców, którzy w nowych warun-
kach tracili surowość ludzi pustyni i sta-
wali się mieszkancami osad. Chaldea jest
typowym przykładem oazy, której życie po-
lityczne i kulturalne kształtują koczownicy
najeźdźcy: Babilończycy, Asyryjczycy, Me-
dowie, Arabowie. Ludność miejscowa nigdy

nie doszła do głosu, chyba anonimowo, sta-
piając się z najeźdźcami. Wreszcie Żydzi sta-
rożytni, którzy pozostawili najlepiej zacho-
wany pomnik swej kultury: Biblię, byli na-
rodem par excellence koczowniczym i to nie
tylko w czasach najdawniejszych, lecz i w
czasie istnienia państwa izraelskiego, pań-
stwa nomadów. Wasi purytanie, podobnie jak
rabin europejscy wczytują się w Biblię, lecz
wątpię, czy potrafią ją zrozumieć. Czyż
uświadamiają sobie, że Abraham to nie
mieszkański ojciec rodziny, lecz potężny
szef koczowniczego plemienia beduińskiego,
którego faraon egipski przyjmuje jak wład-
cę? Czyż dostrzegają, że biblijni patriarcho-
wie zawsze gdzieś wędrują ze swymi stada-
mi, że majątek ich liczy się na sztuki bydła,
a nie na domy lub obszary gruntu? Czyż po-
trafią uchwycić prawdziwy sens prastarej
opowieści o miłym Bogu Abli — pasterzu
i o wykleśm Kainie — rolniku. Jaką mimo-
wolnie wspaniałą interpretacją tej legendy
są słowa Mahometa, proroka Wschodu, któ-
ry ujrawszy po raz pierwszy plug w jakimś
domostwie zawołał: „coż to za narzędzie? za-
prawdę wraz z tym przedmiotem do domu
tego weszła hańba”. Czyż zastanawiacie się
nad tym, że wędrowni Izraelici przez pusty-
nię, to wspaniała reminiscencja zbrojnego
pochodu zdobywczych plemion, że ten zbroj-
ny pochód w pojęciu tych nomadów jest tak
sprawiedliwy i święty, że sam Bóg go pro-
wadził. Zresztą Bóg ten to Bóg plemienny,
Bóg koczownik, wędrujący wraz ze swym
ludem, z którym zawarł przymierze. A okres
późniejszy? Sędziowie Izraela są pasterzami,
koczownikami. Saul i Dawid pasą owce swo-
je. W niedzielnym szkółkach amerykańskich
pobożni pastorki przedstawiają Dawida, jako
biednego pastuszka, który dlatego, że dobrze
strzelał z procy, zrobił fantastyczną karierę
i został królem. W waszym zachodnim wyo-
brażeniu pasterze, to ludzie skromni i ubo-
dzy, spokojni i łagodnego charakteru. Sie-
lanka arkadyjska — oto zachodni ideał pa-
sterskiego żywota. Ale na wschodzie pasterze
byli najbardziej wojowniczymi, a tym samym
najbardziej arystokratyczną klasą ludności.
Pasterz na tronie — to najodpowiedniejszy
monarcha. Szef pokolenia Judy, pasterz Da-
wid, jednoczy bratnie plemiona do walki ze
wspólnym wrogiem — tak należy rozumieć tę
pradawną historię. Te reminiscencje paster-
skiego arystokratyzmu spotykamy znacznie
później w Ewangeliach. Ewangelie zdecydo-
wanie podkreślają królewskie pochodzenie
Józefa i Marii. I gdy Król Żydowski ma się
urodzić w miejscu ubogim — jest to nie stodo-
ła, lecz stajenka. Bo stajenka to wprowadzie
miejsce ubogie, lecz bynajmniej nie podłe.
A kto goźdź jest powiatem dzieciąt? Kró-
lowie i pasterze. Nie rolnicy. Historia Kaina
i Abli powtarza się w Ewangeliach. Ale czy
ktoś z Was wrócił na to uwagę? Ewangelie
popłynęły na Zachód, który umiał podkre-
ślić chrystusową słodycz i pokorę, lecz nie
ocenili ich monarszego majestatu. Gdy ja,
człowiek Wschodu, czytam Pismo Święte,
wszystko jest mi bliskie i zrozumiałe. Bliski
mi jest krańcowy egoizm „ludu wybranego”.
Hebrejski koczownik, podobnie jak póź-
niej arabski, zawsze ma stusność w stosun-
ku do innych ludów, nawet gdy napada i łup-
i. Podstęp nie hańbi, łagodność jest grze-
chem. My ludzie Wschodu jesteśmy koczow-
nikami, wy ludmi osiadłymi — oto linia
dzieląca dwa nasze światy.

— Ale przecież i koczownicy stworzyli
państwa podobnie, jak Europejczycy. Gdzież
więc polityczna konsekwencja tej różnicy w
zamiarach i podstawach społecznej orga-
nizacji?

— Każdy turysta łatwo ją spostrzeże. Co
uderza we wschodnich miastach? Ich róż-
nobarwność, wieloetapowość. Od wieków ży-
ją obok siebie Arabowie, Berberowie, Perso-
wie, Ormianie, Żydzi, Koptowie, Turcy, Ma-
ranci. Noszą różne ubiory, mówią różnymi
językami, wyznają różne religie, mają od-
rębne obyczaje, nie łączy ich między sobą,
nie miesza ich nawzajem. Łączy ich tylko
państwo, a właściwie osoba władcy, gdyż
Wschód z trudnością przyswaja sobie pojęcie
obywateli, zna tylko poddanych. Łączy ich
jeszcze jedno: Wschód, ale o tym później.
Wasze miasta są jednolite. Różnobarwność
spotyka się tylko w miastach portowych.
U was ludność napływowa asymiluje się,
upodabnia się do miejscowej. Mimo miesz-
nego pochodzenia wytwarza się poczucie jed-
ności narodowej. W Paryżu mieszkają ludzie
wszelkich ras i narodów, a jednak Paryż jest
jednobarwny. Wasze państwo jest pojęcio-
wym rozszerzeniem grecko — rzymskiej repu-
blik miejskiej. Jest ono tworem lokalnej
klasy panującej. Dlatego też renesans euro-
pejski zapomniał o cywilizacji arabskiej
i nawiązał do klasycyzmu grecko — rzymskie-
go, który był mu bliższy duchowo, choć sa-
racenizm był bliższy w czasie i był tuż pod
ręką.

— A czy państwa wschodnie nie tworzy-
ła podobnie jak w Europie klasa panująca?

— Tak, ale nie miejscowa. Państwo
wschodnie nie jest tworem ludności osiadłej.
Jest wynikiem podboju dokonanego przez
koczownika. Wschód długo nie znał pojęcia
narodu — państwa. Znał tylko imperia. Sche-
matycznie można naszą historię przedstawić
w sposób następujący: Szczęśliwie koczownicy
rozpoczynają marsz i tworzą imperium przez
podbój. Jakże przesłanki obiektywne pchnęły
szczęp na tory wielkiej historii jest dla ra-
zultatu podboju obojętne. Obojętne jest także
dlaczego historia wybrała ten szczep a nie
inny. Spokojni mieszkancie oazy jest wyma-
rzonym poddanym, idealnym podatnikiem.

Wojkowo zawsze ulegnie, choćby odznaczał
się największym hartem i był zorganizowany
jak np. Berberowie w Afryce Północno — Za-
chodniej. Przywódcy zwycięskiego szczepu
zdobywają władzę i zaszczyty, cały szczep
robi fantastyczną karierę. Ale to jest począt-
kiem jego zagłady. Zwycięstwo jest próbą
ponad siły plemienia nomadów. Po niewielu
pokoleniach, dumni wojownicy tracą pier-
wotny hart, niewieleścią w atmosferze wpa-
niałych miast i pałaców, właśnie wewnętrznie
rozbiłają jedność bojową i imperium staje się
łupem nowej grupy koczowników. Oczywiście
taka organizacja państwa nie sprzyja wy-
tworzeniu jednolitego narodu i stąd ta mo-
zaika naszych miast. Zresztą samo miasto
wschodnie jest typowym tworem nomady.
Marokko, gdzie istnieją strefy ludności osia-
dłej, jest doskonałym terenem obserwacji.
Na obszarach osiadłych nawet najwięk-
sze miasto ma strukturę dużej wsi, gdzie do-
my mają strome dachy, a kobiety kręcą się



po ulicach nie zakrywając szczelnie oblicza.
Najmniejsza wioska zbudowana przez noma-
dów ma charakter miejski; tarasy na płas-
kich dachach domów tworzą drugie miasto
zarezerwowane wyłącznie dla kobiet, które
pedzą niemal haremowy tryb życia. Koczow-
nik nie buduje miasta by w nim żyć, lecz by
w nim gromadzić łupy i wypoczywać. Stąd
przepych miast koczowniczych. Przechodzą
one z rąk do rąk i ludność ich musi być mie-
szana.

— Sądziłem, że mozaika ta jest wynikiem
przysiółowej tolerancji arabskiej.

— Mozaika ta wynika przede wszystkim
stąd, że historia Wschodu nie jest historią
wyłącznie arabską. Ludy podbite: Persowie,
Syryjczycy, Egipcjanie, Berberowie, Libij-
czycy biorą udział w tworzeniu naszej histo-
rii. Poszczególne grupy ludności przetrzucają
się z miejsca na miejsce wraz ze swymi wła-
dzcami. Kalifowie rządzą kolejno z Damaszku
i z Bagdadu, Berberowie z kabylijskiego szcze-
pu Ketama pod sztandarem dynastii Fatimi-
dów panują w Egipcie. Oczywiście oficjalna
historia arabska o charakterze typowo ge-
nealogicznym mówi głównie o Fatimidach i o
ich pochodzeniu od Proroka. Ale armia sa-
motnego wygnańca ze wschodu, który pozys-
kał dla swej sprawy szczep Ketama byli
Berberowie. Poza tym grupy arabskie i ber-
berskie walczą z sobą w Afryce Północnej
i w Hiszpanii. Jeśli zaś idzie o naszą toleran-
cję to ma ona zupełnie inne podstawy niż to-
lerancja w Europie. U was tolerancja ozna-
cza szacunek dla cudzych przekonań, a na
szacunek ten, moim zdaniem, może się zdo-
być tylko ten, którego wiara nie jest zbyt go-
raca. W tym sensie Wschód nigdy nie był to-
lerancyjny. W dziejach Islamu częste były
epizody nawracania mieczem, wycinania w
pleń sekularzy, heretyków i niewiernych. Ale
przy bliższym zbadaniu sprawy okaże się, że po-
dobnie jak podczas wojen religijnych w Eu-
ropie przyczyną rzezi były raczej natury po-
lityczne, a różnica religijna była nie tylko
ideowym wykładnikiem tych przyczyn, ale
po prostu pretekstem. Tolerancja Wschodu
opiera się na czymś znacznie głębszym. Dumny
arystokratyczny nomada jest tolerancyj-
ny nie dlatego, by szanował przekonania ino-
wiercy, lecz przede wszystkim dlatego, że nu
wyznach jego wspaniałego egoizmu zabwie-
nie duszy „bliźniego” jest mu najzupełniej
obojętne. Islam zawsze tolerował w swym
łonie cudzoziemskie kolonie i musiał je tole-
rować. Tam, gdzie nie było bezpośredniej ko-
niecności politycznej, nie było przymusowe-
go prozelityzmu i asymilacji. Różnobarwność
Wschodu jest bezpośrednią konsekwencją ko-
czownictwa.

— Ale ta właśnie różnobarwność dowodzi,
że poczucie łączności narodowej istnieje we-
wnątr budowy imperialnej. Te poszczególne
kolonie cudzoziemskie, to przecież odrębne
zwarte grupy narodowe.

— Ależ oczywiście. Jedynie koncepcja pań-
stwa narodowego nie zdobyła na Wschodzie
pełnych praw obywatelskich. Natomiast we-
wnętrzną zwartość narodów wschodnich jest
dużo większa niż narodów Europy. Pewne
zjawiska historyczne można wytłumaczyć
uświadamiając sobie ich orientalny charakter.
Dla wielu historyków Europy Żydzi są za-
gadką. Zeuropeizowani i zamerykanizowani
Żydzi sami skłonni są uważać swe istnienie
za fakt niemal cudowny. Bo proszę: przez ty-
sące lat istnieje naród bez terytorium, bez
państwa, rozproszony po całym świecie, zwi-
ązany jedynie wspólnotą tradycji, religii, oby-
czajów, a w przeszłości także funkcji gospo-
darczej. Wszystko stanie się zrozumiałe, gdy
uświadamimy sobie, że przez stulecia Żydzi
byli w istocie grupą o określonej roli gospo-
darczej, której ideologia przeszczepiona ze
wschodu przesiąknięta była koncepcjami no-
madyzmu. Nomadyzmu bowiem nie należy
rozumieć zbyt dosłownie. Ideologia koczow-

nicza pozostawia daleko w tyle pierwotne
formy życia pasterskiego. Koczownik szybko
staje się kupcem, stado przelata się w ka-
rawanę. Koczownik może się stać także że-
glarzem, ale nigdy nie stanie się rolnikiem.
W okresie powstania Islamu Korejszycy, z
których wywodził się Mahomet — zapomnieli
już o rzemiośle pasterskim, byli kupcami.
Mekka była miastem kupców. Sam Mahomet
wysłał i prowadził karawany. Był to jed-
nak najczystszy nomadyzm, którym przesią-
knięta jest cała nauka Proroka. Dziedzictwo
nomadyzmu na bazie odrębnej funkcji go-
spodarczej umożliwiło przetrwanie Żydów,
którzy przez całą historię byli bodajże jedy-
ną poza cyganami — inną grupą nomadów —
grupą narodowo — państwową, która się nie
asymilowała.

— Na Wschodzie też się nie asymilowali.

— Tak, ale nie tylko oni. W Indiach żyją
Persowie, kupcy i czciciele ognia, rozbitko-
wie dawnej monarchii perskiej. Nie zasymi-
lowali się. Nie zasymilowali się z otaczają-
cym ich światem muzulmańskim chrześcijań-
scy kupcy libańscy, potomkowie Fenicjan.
A w Algierze spotka Pan Mzabitów. Są to
bogaci kupcy i finansjści, tworzący jakby
osobny naród. Żenią się tylko między sobą,
stanowią w Islamie odseparowaną od ogółu
sektę, uważają się za jedynych prawowier-
nych mahometan, różnią się od otoczenia
obyczajami. Sledzibą ich jest oaza Mzab, ale
oni nie uważają Mzabu za swą ojczyznę. Oj-
czyzną ich jest Islam. Historia ich jest dość
ciekawa. W okresie walk o kalifat, prowa-
dzonych przez zięcia Proroka Alego, powsta-
ła w jego otoczeniu frakcja uahabitów, która
była wroga wszelkim kompromisom. Zosta-
ła ona przez Alego bezlitośnie zniszczona.
Uahabici, którzy ocalili, zwani przez pozosta-
łych mahometan „charedzycami” czyli dy-
sydentami, szerryli nadal swe nauki i podzie-
lili się na dwa obozy: umiarkowanych liba-
dytów i skrajnych sofrytów. Charedyzm
był to surowy i egalitarny purytyzm ma-
hometński. Charedzycy, którzy na Wschod-
zie mieli niewiele zwolenników wysłali mis-
jonarzy do Afryki Północno — Zachodniej.
I tutaj muzulmański kalwinizm znalazł swą
Szkocję. Berberowie nie dbając zbyt o samą
doktrynę przyjęli tę herezję przez opozycję
wobec wschodnich władców, podobnie jak
w starożytności przez opozycję wobec Rzy-
mu przyjęli herezję donatystów. W walkach
wewnętrznych zwyciężyli umiarkowani liba-
dytów, którzy stworzyli w mieście Tiarat mo-
narchię. Istniała ona 150 lat i przed tysiącem
lat została podbita. Wówczas charedzycy opu-
ścili swą stolicę, obrali jako punkt wypado-
wy oazę Mzab i stali się narodem kupców.
Od tysiąca lat istnieje w Algierze ten han-
diowy lud bez obojczy politycznej, bez tery-
torium, odseparowany od otoczenia i gęsto-
lony więzią religijną — obyczajową. Mimo
rozproszenia tysiąc lat nie naruszyło ich
szczepowej odrębności. A u nas w Maroku?
Zwrócił Pan na pewno uwagę na odrębność
miejscowych kupców t. zw. bakali. Wszyscy
bakale są „Soussi” — pochodzą z terytorium
na południu Marokka u stóp Atlasu, które
zwie się Souss. Wędrują bez przerwy między
swą bazą wypadową i miastami Marokka,
tworzą jakby bractwo, bo sklepy przechodzą
z rąk do rąk w sposób niekontrolowany przez
władze, mają swego szefa, mówią dialektem
berberskim, którego my Arabowie nie rozu-
miemy i trzymają się osobno.

— Nie zaprzecz Pan jednak, że tradycje
koczownicze zamierają.

— Co Pan rozumie przez zamieranie? Ko-
czownicy pierwotny tryb życia zanikali, ale
formacje kulturalne, jakie wytworzyli, mają
trwałość niemierną od formacji stworzo-
nych przez tryb życia osiadły. Gdy osiadły
Europejczyk znalazł się bodaj na krótko
w warunkach pierwotnych, lub gdy ze skre-
powanego przepisami średniowiecznej gildii
mieszczanina przeradzał się w wolnego kup-
ca — gdzie szukał ideologicznego oparcia:
w Biblii, księdze nomadów. Purytaństwo —
protestantki powrót do Starego Testamentu
jest wyrazem żywotności nomadyzmu. Kupcy
brytyjscy, holenderscy, niemieccy wczytują
się w Biblię; dla purytańskich emigrantów,
wędrujących przez przestrzenie Ameryki,
Biblia staje się niezwykle bliska. Przecież
Biblia usprawiedliwia wszystko: ekstermina-
cję plemion indiańskich i kolonizatorski
egoizm. Mormoni uważają się po prostu za
lud Izraela i zgodnie z odwieczną tradycją
nomadów wprowadzają wielożenstwo. Wę-
drowni Mormonowie przez tereny dziewicze
Ameryki czyni z nich nomadów par excel-
lence.

— A jednak w dzisiejszym świecie te ko-
czownicze tradycje skazane są na zagładę.

— Niezupełnie. Koczownicy arabscy stwo-
rzyli imperia i szybko się zużyli. Cywilizacja



^{*)} Por. tegoż autora „Na szlakach panara-
bizmu” cz. I Kuznica Nr 23 z dn. 6.VI.1948 r.

saraceńska najwspanialsza cywilizacja, jaką stworzyli Arabowie, nie była tworem pierwotnych koczowniców. Tworzyli ją w języku arabskim ludzie osiadli w dawnych miastach. To było częściowe zwycięstwo podbitych nad zdobywcami. Dlatego też dla Araba-koczownika przywiązanie do tradycji tego ludu cywilizacja przedstawiała zawsze pewne niebezpieczeństwo. Wielki historyk arabski Ibn Chaldun, światowiec, polityk i dyplomata, człowiek o wspaniałej kulturze nazwał cywilizację uosobieniem zła. Ibn Chaldun delikatny rezydent dworów monarszych, subtelny intrygant i uczony czuł jednak gdzie leżała źródła twórczej siły jego narodu: w koczownictwie. Na Zachodzie tym źródłem narodu, wej siły jest chłop. Oto różnica. Cywilizacja niszczy wprawdzie koczowniczy tryb życia, ale dopóki ludzkość nie przekształci geografii, dopóki nie zamieni Sahary w czarnoziem — linia graniczna między Wschodem i Zachodem nie zostanie zatarta. Jak dotychczas jedynie Związek Radziecki zrobił pewne próby w kierunku takich przemian, ale to dopiero nieśmiałe początki. Środki techniczne naszego pokolenia są jeszcze niedostateczne.

— A przyszłe pokolenia?

— Przewidujemy to i dlatego musimy się śpieszyć. Jest kilka minut przed dwunastą na zegarze. Póki jeszcze tradycje koczownicze tkwią głęboko w ludach arabskich — czas na działanie.

— Gdzie widzi Pan polityczne rezultaty tych tradycji?

— Koczownik i człowiek osiadli mają odrębne koncepcje narodu — rzekł mój przyjaciel. — Wy macie poczucie łączności terytorialnej nie tylko w przestrzeni, lecz i w czasie. Gdy we Francji czy w Polsce jakiś uczony wygrzebie spod ziemi przedhistoryczne szkielety, przeciętny Francuz czy Polak myśli: oto nasi przodkowie. Nie zastanawia się nad tym, że biologicznie być może nie jest wcale potomkiem tego zaginionego ludu, lecz innego plemienia, które przywędrowało później. Historia Polski czy Francji to historia ziem ojczyści. „Nie zabiera się ojczyzny na podszewie swego buta” — zawołał Danton, gdy namawiano go do emigracji. Rasizm w Europie okazał się krwawym absurdem, gdyż był zaprzeczeniem waszego wielowiekowego rozwoju. U nas było inaczej. Czytacie Biblię, a zrozumiecie koczowniczą koncepcję narodu, który zabierał ojczyznę na „podszewach swych sandałów”. Ojczyzna na Wschodzie to plemię, to wspólnota rodowa, mniejsza o to czy ta wspólnota krwi istnieje naprawdę, jeśli istnieje jej świadomość. Historia Izraela nie jest historią Palestyny. Kronikarz podąża za swym ludem z Chal-dei do Syrii, z Syrii do Egiptu, wędruje z nim po Palestynie i okolicy, koczując z nim na pustyni. Na Wschodzie koncepcja terytorialna ustępuje miejsca koncepcji biologicznej. Biblia jest pełna genealogii, całe strony są poświęcone wywodom genealogicznym. „Uczcie się waszych genealogii — nawoływał Mahomet — nie bądźcie jako ci, którzy na pytanie kim są — odpowiadają: „Jesteśmy z tej lub z tej wioski”. Nasi historycy są też przede wszystkim genealogami. Historia i genealogia w naszej nauce nierozdzielnie splecione. Dynastie nasze zawsze powoływały się na swe pochodzenie od Proroka. Oczywiście, że te wszystkie genealogie nie mają nic wspólnego z naukową ścisłością, że „genealogiczny pogląd na historię” jest nienaukowy. Ale nie idzie nam o wykrycie obiektywnej prawdy historycznej, lecz o zrozumienie politycznych konsekwencji nomadyzmu. To genealogiczne podejście do historii, typowy wytwór koczowniczej umysłowości stworzyło panarabską jedność ponadterytorialną, rozbijając jednocześnie lokalną jedność terytorialną. Wasze miasta są jednolite, ale wasza Europa jest wielojęzyczna i „wielobarwna”. Nasze miasta są wielobarwne, ale od Oceanu Indyjskiego poprzez wszystkie kraje Islamu nad morzem Śródziemnym aż do wybrzeży Atlantyku Arab jest u siebie w domu i nie czuje się cudzoziemcem. Dlatego zawsze tworzyliśmy imperia, a nie państwa narodowe. Koncepcja genealogiczna jest wyrazem niezwykle silnej łączności plemiennej, która potrafi przetrwać nie tylko utratę bytu narodowego, ale nawet utratę terytorium. Naród wschodni jest widocznie tworem niezwykle silnym jeśli może istnieć bez terytorium w przeciwnieństwie do narodów europejskich. Wasze grupy narodowościowe odwrane od terytorium ojczyści tracą swą łączność i spójność już w drugim i trzecim pokoleniu. My, zwarci i zespoleni, płyniemy, jak wielkie kręgi oliwy w oceanie morza. Jesteśmy stokrój więcej odporni niż ludy Europy. Zawdzięczamy to puszczynie nomadyzmu.

— Ale koczownictwo w świecie dzisiejszym do niczego nie prowadzi — jest ślepa uliczka.

— Jest wyjście z tego impasu. Uczymy się wiele od Europy, podobnie jak ongi Arabowie uczyli się od Persów i innych ludów, z którymi zetknęła ich historia. Zachód zetknął nas z państwem narodowym. Wbrew swym własnym interesom wbrew swej woli reżim kolonizatorski przyspieszył zjednoczenie narodowe. W zetknięciu z drapieżcą imperialistycznym z zachodu skłócone plemiona, szczepy i ludy arabskie uświadamiają sobie coraz lepiej swą jedność. Szybkość nowoczesnych środków komunikacji jest materialną przesłanką tej jedności. Bismarck nie gubił nie zjednoczył Niemiec bez kolei żelaznej. Wielbłądy wystarczały dla budowy krótkotrwałych mozaikowatych imperiów. Kolej żelazna zrosła samochodową, samolot, radio przekreślały zarówno mozaikowatość jak i krótkotrwałość koczownictwa jest tradycją jedności ponadterytorialnej, szczepowej, genealogicznej. Niech Pan dorzuci do tego

waszą europejską jedność terytorialną, jedność narodową, a otrzymamy Pan formację o stalowej zwartości, o granitowej sile odporu.

— Tych koncepcji nie można sumować arytmetycznie.

— Jasne, że nie ma mowy o jakimś sumowaniu. Proces, o którym mówię, przypomina raczej powstawanie związków chemicznych. Pierwotne składniki nikną i pojawiają się nowe ciała o odrębnych własnościach.

— A jeśli te składniki nie zechcą się połączyć? Sam Pan mówił, że cywilizacja wschodnia i zachodnia są niewspółmierne. Trzeba będzie wybierać między wschodem i zachodem, między narodem a mrzonką imperium na glinianych nogach, między prawdziwą niepodległością poszczególnych państw arabskich a mizerną jednością przykutej do rydwanu imperializmu. Czym w istocie jest Liga Arabska? Karykaturą jedności bez prawdziwej niepodległości na służbie obcych interesów!

— Napoleon też kuł jedność zachodnich Niemiec dla siebie. W istocie przygotował grunt pour le roi de Prusse. Liga Arabska to dopiero początek. Anglicy rozpoczęli niebezpieczną grę. Dziś jeszcze wyciągają kasztany z ognia, ale jutro już poparzą sobie palce i jeśli ich na czas nie wycofają, spalą

JANINA PRĘGERÓWNA

KSIĄŻKA O MIŁOŚCI

Pastwisko na Derborence“ to wznowienie przekładu znakomitej powieści C. F. Ramuza, która ukazała się u nas przed wojną.

Akcja powieści rozgrywa się w górach szwajcarskich, w kantonie Vaud, we wsi i na hali pod szczytem Diablerets. Powieść, o stylizowanej prostocie, epickiej i klasycznej — zawiera konflikt moralny o zasadniczym znaczeniu i wielkiej dramatyczności. Mimo, że jest to pewien odrębny i właściwy Ramuzowi gatunek realizmu, forma jest dla polskiego czytelnika dosyć obca. Przyczyna być może odrębny, regionalny klimat, z którego wyrosła. Góry i ludzie kantonu Vaud, to zupełnie inne góry i inni ludzie, niż u nas, w Tatrach. Powieściopisarz zaś uświatuje w formie swojej powieści wyrazić rytm życia i uczucia swoich ziomków, małomównych i brylowatych chłopów szwajcarskich, wychowanków dzikiej i okrutnej przyrody. Mimo tej obcości rzecz wywiera silne wrażenie, a dramat „chwyt” czytelnika.

Rozgrywa się on — trochę jakby na wzór tragedii klasycznej — między trzema osobami, z których dwie żyją, a jedna zmarła — na tle opinii społeczeństwa wiejskiego, niby chóru. Mąż Antoni Pont, jego żona Teresa — i ich zaginiony w katastrofie krewniak Serafin Carrupt — oraz cztery wsie okoliczne.

Treść „Pastwiska na Derborence” jest następująca:

Lawina skalna zasypała pastwisko wysokogórskie — zginęli wszyscy obecni na hali pasterze i wszystkie zwierzęta. W szalasie, przyniesionym przez blok skalny, ale nie zniszczonym, został przy życiu młody pasterz Antoni Pont i prawdopodobnie stary Serafin Carrupt. Serafin był wujem nowoposiadanej żony Antoniego, opiekunem i przyjacielem obojga młodych, którym umożliwił małżeństwo: Antoni był bowiem sierotą i biedakiem, Teresa Maye zamożną chłopką. Nie wiadomo, jak gruba jest warstwa kamieni nad szalasem, i czy wydostanie się z labiryntu jest możliwe — czy też beznadziejną wędrowkę zakończy śmierć z wyczerpania — lub przez upadek w jakąś szczelinę. W każdym razie Antoni nie rezygnuje. Wprawdzie po doznany wstrząsie nie odzyskał moralnej świadomości tego, co się dzieje z nim i dokoła niego, lecz instynktownie natychmiast podejmuje walkę o odzyskanie życia, próby wyjścia spod lawiny kamiennej. Zapas sera oraz krople wody, sączącej się z lodowca, pozwalają Antoniemu utrzymać się przy życiu w ciągu siedmiu tygodni poszukiwań jakiegoś kominu skalnego, którym by mógł się przecisnąć na powierzchnię świata. Po siedmiu tygodniach daremnych prób — udaje mu się. Wraca do swej wsi, jedyny ocalały z katastrofy. Kieruje się ku domowi, gdzie pozostawił żonę. Mieszkańcy wsi uważają go za upiora. Sam Antoni nie ma jeszcze silnej wiary w swoje prawo do życia — po powrocie „z tamtej strony”. Powoli wraca mu pamięć, uczy się na nowo rzeczy i pojęć. Onieśmiela to żonę, której wydaje się, że straciła z nim kontakt — i która z tego względu nie wyjawia mu tajemnicy, jaką chowała dla niego — że ma zostać matką ich dziecka. Antoni spędził swój pierwszy dzień powrotu do społeczeństwa — w urzecz, u wójta, i w karczmie — gdzie ludzie przekonywali się naocześnie, że cudem ocalały nie jest upiorem. Podczas gdy nieufni przekonywali się, Antoni przypominał sobie wszystko, co przeżył od chwili katastrofy. I wreszcie sobie przypomniał: słyszał głos Serafina; Serafin musiał żyć jeszcze przed siedmiu tygodniami, po katastrofie. Opanowany tą myślą pasterz pragnie natychmiast wracać w góry, ratować przyjaciela. Nie rozumie, że jeśli żył wtedy, to nie żyje po siedmiu tygodniach, pozostawiony bez żadnej pomocy, i że drogi do niego nie odnajdzie w zwałisku, powstałym po osunięciu się góry. Rozumie tylko to, co zrobił. Wśród po-

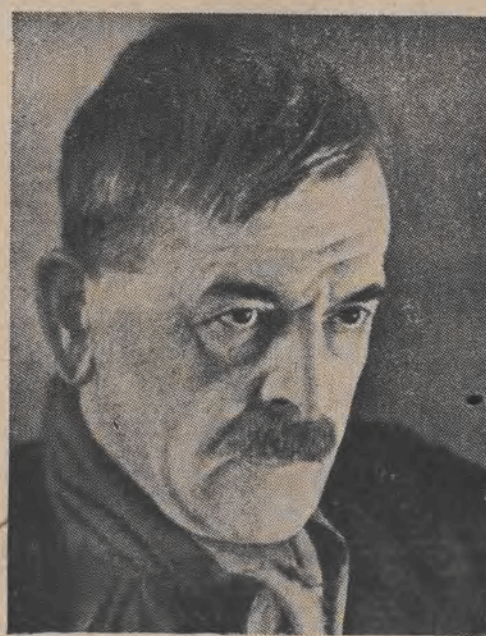
*) C. F. Ramuz: „Pastwisko na Derborence”. Przekład Stefana Flukowskiego. II wydanie. „Książka” (Kraków — Warszawa), 1947. Str. 224, 2 nb.

GEORG LUKACS W POLSCE



W dniach ostatnich przybył do Polski znakomity krytyk i filozof węgierski Georg Lukacs. Weźmie on udział w Światowym Kongresie Intelektualistów w obronie pokoju, który odbędzie się w dniach 25—28. 8. we Wrocławiu.

Anatol Estryn



C. F. Ramuz

jęć, odzyskanych przez młodego pasterza w pierwszym dniu jego powrotu do ludzi, nie ma jeszcze miejsca na myśl o żonie — na tę myśl, która była jego ostatnią i najsilniejszą myślą owej nocy, kiedy nastąpiła katastrofa. Młodzi małżonkowie, od tygodnia rozdzieleni na miesiące letnie, które pasterze spędzają ze swoim bydłem na halach, byli pochłonięci równocześnie miłosną tęsknotą — on w szalasie na Derborence, przy starym Serafinie, ona we wsi, w domu, przy matce. Ale teraz Antoni jeszcze niezupełnie przyszedł do siebie. Wraca do życia i do rozumu — zanim wróci myślami do Teresy, do której wrócił już instynktem. Gdy męża wreszcie odprowadzono z karczmy do domu i gdy zasnął natychmiast jak kamień — Teresa, zdeorientowana, idzie nocować do matki. Rano nie zastaje go już w domu — pasterz wrócił na Derborence, by „szukać Serafina. Ludzie ze wsi go opuszczają — nikt się z nim nie zapuści w te zwałiska, gdyż tam, jak wierzą, przebywają upiory zabitych w katastrofie. Antoni w ich mniemaniu jest upiorem, który ich wciąga w zasadzkę. Lecz Teresa nie wierzy. Teresa, która opuściła męża tej nocy, nie opuści go więcej. Idzie sama w zwałiska, by go odszukać i zawrócić; powie mu, czego nie zdążyła powiedzieć: że jest ojcem. Ale Antoni traci rozum: ucieka od posęgu, który ma mu przeskoczyć ratować Serafina. Ucieka w góry, gdzie go nie czeka nie próżna śmierć. Jednak Teresa i Antoni nie giną. Teresie udaje się dojść do Antoniego i przekonać go. Ku zdumieniu ludzi ze wsi — wracają oboje z kamiennej pustyni — do życia.

Oto nieskomplikowana fabuła powieści Ramuza, podana zresztą przez autora w wyszukanej formie kompozycyjnej. Zawiera ona problem moralny i szersze od niego, elementarne zagadnienie wartości życia, podstawowa decyzja. Rozstrzygnięcie jest pozytywne. Człowiek winny omieszkania ratunku towarzysza w chwili zamroczenia walka o własne życie — nie ma oddać za to swoje go życia. Co przezwaga decyzję w tym sądzie? Miłość drugiego człowieka i to, że Antoni jest potrzebny, aby służyć nowemu życiu — dziecku, które przyjdzie na świat. Jest to więc pogląd ułtymarny, stawiający wartość życia wyżej od wartości pokuty, wyrównania winy. Zamiast bezwzględnej sprawiedliwości, szukającej wyrównania win przeszłości, punkt widzenia przyszłości: człowiek usprawiedliwił się swoją użytecznością dla społeczeństwa. Nie jest to etyka dramatu greckiego, którego formę naśladował autor — jest to etyka nowoczesna. Drugim motywem przejęcia życia przez człowieka winnego — jest miłość drugiego człowieka. Miłość przynosząca wybaczenie (sąd odbywa się tu w du-

ży samego winnego, Antoni jest własnym prokuratorem) — owa charitas — to znów ten humanistyczny punkt widzenia, który uważamy za jedno z najwyższych osiągnięć kultury ludzkiej. Conrad byłby zapewne rozwiązał ten problem tragicznie — jest to typowy dla problematyki Conrada konflikt moralny. Ramuz rozwiązuje go optymistycznie, twórczo. Takie ujęcie rzeczy wydaje się szczególnie bliskie naszym czasom. Nie ma w rozwiązaniu Ramuza nic z przekonania, że „lepszy żywy pies niż martwy lew”. Jest natomiast w jego postawie wielki szacunek dla życia. Nie jest ono stawką, którą wolno lekkożylnie przegrać w amerykańskim pojedynku. Życie jednego jedynego człowieka, jakiegos pasterza, jest wartością, o którą warto walczyć, jest rzeczą ważną.

Rozwiązanie Ramuza stawia rzeczy na właściwym miejscu i książka ta jest szczególnie pożytecznym przypomnieniem dla ludzi, wychowanych w czasach pogardy dla życia ludzkiego i nie rozumiejących jego wartości.

W tej powieści chłopskiej i bardzo realistycznej psychologicznie — pojęcie honoru nie zostało gorzej potraktowane niż w powieściach Conrada. Są ludzie znający lęk i cofający się, tak jak bywa w życiu, ale sprawa, o którą walczą dwaj bohaterowie powieści — Antoni i Teresa — jest sprawą ich honoru ich wierności wobec obowiązku. Antoni, wróciwszy do świadomości, pragnie być do końca wiernym obowiązowi wobec towarzysza, Teresa, opamiętawszy się po zaskoczeniu, pragnie być do końca wierną miłości do męża. I każde z nich, bez względu na osamotnienie i opuszczenie przez wszystkich, bez względu na opinię, bez względu na swoje bezpieczeństwo, dąży do spełnienia zadania.

W związku z tym nasuwa się drugi problem: stosunku jednostki i społeczeństwa. Społeczeństwo wiejskie, opinia społeczna odgrywa w powieści Ramuza wielką rolę, jest niby chórem, towarzyszącym aktorom. I jak chór grecki, okazuje się chwiejnie, lekko, przesadnie. Ramuz z prawdziwą siłą realistyczną przedstawia niewysoki poziom gromady ludzi pierwotnych, wychowanych przez bardzo ciężkie warunki naturalne, przynajmniej swoje ciążące człowiekowi.

Na pewno nie ostatnie miejsce zajmuje w tej książce problem miłości. Nie obciążony psychologizmem (choć obciążony innymi właściwościami manieri stylistycznej Ramuza), w postaci nieskomplikowanej, spensualnej, odgrywa w powieści zasadniczą rolę, ukazuje się jako jedna z zasadniczych sił i wartości życia. Od sielankowego wdzięku zmysłowej miłości pary stęsknionych wieśniaków do prostoty tragizmu, gdy żona traci duszę małżonka, gdy potem opuszcza go w chwili krytycznej i ten błąd okupuje straszną próbą, w której omal nie utracił życia swego ukochanego.

Nasuwa się tu nieodparcie bardzo anachroniczne, wyznaje, zestawienie. Analogiczne sytuacje i analogiczny problem erotyczny, jak w powieści Ramuza, spotykamy bardzo często w naszej twórczości powojennej, w powieści i w teatrze. Można by go nazwać „kompleksem Penelopy” (tej Morstina). Na doświadczenia rozłąki i śmierci, które przyniosła ostatnia wojna, bohaterki odpowiadają zdradą małżeńską. Wprawdzie Teresa nie siedem lat, lecz siedem tygodni tylko jest wdową, ale...

Ramuz bardzo niebanalnie przedstawił ten zbanalizowany problem. Teresa, tak namiętnie kochająca i rozpaczająca żona — również opuszcza męża. Opuszcza go na jedną noc, kiedy może jej opieki najbardziej potrzebował — i, przeleknięta, małodusznie zatrwożona jego pozorną obcością, idzie do matki. Ten błąd ma skutki równie doniosłe, jak każda zdrada. Omal że nie traci męża, który obłąkany swoją ideą, opuszcza nocą dom i ucieka w góry. Ale ona też jest jedną z całej gromady, która uratuje Antoniego od śmierci swoją niezawodną miłością.

To symboliczne ujęcie ukazuje całą głębię problemu, nie naruszając prawdy psychologicznej powieści chłopskiej.

Określenie: realizm, które tylekroć łączyłam z powieścią Ramuza, wymaga wreszcie poruszenia problemu artyzmu, formy. Czy realizm Ramuza jest prosty, czy skomplikowany? „Bezpośredni” czy „konstruowany”?

W stylu Ramuza odczuwa czytelnik polski pewną obcość, którą pociągają się nazwać wymyślnością, wyszukaniem, sztucznością. Jedną z przyczyn tego wrażenia jest odległość, pewna egzotyczność charakteru tych ludzi, których powieść tak doskonale wyraża. Z wielką sztuką pisarską — narracją oddaje tok myśli, tok życia i uczucia tych ludzi, tej wioski górskiej w kantonie Vaud, która jest bohaterką powieści Ramuza. Przedstawieniu ludzi powolnych, mało mównych i ciężkich służy ten styl rzeczowy a pełen powtórzeń, tępych akcentów, służy dobór porównań i metafor, gdzie mowa jest np. o ciężko zderzających się kłocach drzewa. Służy też kompozycja powtarzająca, falowa, gdy np. Ramuz z uporem tyle miejsca poświęca na kolejne powiadamianie nas, jak powoli wleś o oberwaniu się góry docierała od człowieka do człowieka, od gromady do gromady — aż wreszcie dotarła do świadomości dotkniętych katastrofą, aż wreszcie nieszczęście zostało zrozumiane w całej pełni. W tym stylu jest stylizacja — chęć upodobnienia się do kamienia, o których mówi i do owych grubo ciosanych ludzi.

Poza tym jednak są inne powody małej bezpośredniości i prostoty stylu Ramuza. Autor dążył do jak największej plastyczności i konkretyzacji obrazu. Dlatego krótkie zdania nie są wcale proste ani swobodne, naturalnie powiedziane. Ramuz chciał uniknąć wszelkiej aprioryczności i dać jak najwięcej elementu wizualnego — ten uważał za najkonkretniejszy. Swoje postaci pragnie nam ukazać, jak aktorów na scenie, a miejsce akcji — jak scenę i dekorację. Jest to bardzo plastyczne i robi wrażenie — ale zarazem jest sztuczne. Zresztą ta sztuczność nie jest zażyżżona, lecz najzupełniej własna, ramuzowska. Jak reżyser — dba o ekspresję gestu, jak inscenizator — troszczy się o oświetlenie. To wrażenie sceniczności wzmacnia się przez to, że narrację w czasie przeszłym stale przerywa czasem teraźniejszym, co również staje się pewną manierą. Teresa i jej matka Filomena siedzą u siebie w domu — dowiadujemy się o tym z takich słów autora: „Wówczas widać Filomenę, jak podnosi ramiona i opuszcza je; i ona również siedzi w świetle. Cała kuchnia tonie w blasku, cała kuchnia pogrąża się w noc; ogień w kominie może rozbić czerwienią, zanim znowu zniknie” (str. 149). Burza przechodzi nocą nad wsią: „W oknach ukazały się głowy; w drzwiach ukazują się całe postacie, które mówią: — Co się dzieje? — Zwracają się jedni ku drugim. Zadzierają głowy do góry; między dachami widać gwiazdy na swoich zwykłych miejscach...” (str. 73).

Oto w jaki sposób dąży do uprzytomnienia konkretności: „A tymczasem tamto (mowa o osypanej lawinie skalnej) grzmiało głucho pod nim; ponieważ leżąc przyciskali brzuchy do góry, nim się zorientowali, że przynależą do ciała do świadomości” (str. 52).

Czy nie wyda się nam przesadna taka „uprzytomniająca” metafora: „Antoni znajdował się pośrodku; na spotkanie ludzi wysłał dwoje zapadłych i wyblakłych oczu, które dotykały się o człowieka, nie widząc go wcale” (str. 183).

A czy można nazwać prostotą tego rodzaju rzeczowość, która tak usilnie podkreśla składnią konstatację: „Pogoda była piękna, wiał nikiły wiaterek północno-zachodni, którego chłód odczuwało się na jednym z po-

liczków. mianowicie na lewym” (str. 178).

Czy świadczy o naturalności języka tego rodzaju zdanie, które swoim powtórzeniem ma naśladować rytm idących ludzi? Niosący nosze „schodzili w milczeniu, wysuwając jednocześnie swoje prawe stopy, wysuwając jednocześnie lewe stopy, dla równowagi” (str. 83).

Jest w tym wszystkim wiele ekspresji, ale — trudno ten język uważać za „prosty”. Przytoczonych cytat wystarczy dla scharakteryzowania rodzaju realizmu Ramuza.

Również kompozycja jest bardzo „przemysłowa” i „przemysłowa”. Wywołuje ona zamieszanie wrażeń sztuki starożytnej i mieści w sobie wiele dramatyzmu. Część pierwsza przedstawia, czym była katastrofa w społeczności górskiej, przedstawia wszystkie kłaki, jakie rozszły się po falach gromady ludzkiej — i tutaj wyraża aluzję do klasyfikacji jest narracja o wędrowności wieści. Fama, Przeważa tu opis wizualny, tempo powolne. Część druga jest dramatem indywidualnym, pełnym napięcia, szybko zdążającym do punktu kulminacyjnego. W części tej przeważa psychologia i społeczeństwo zostaje czynnie wciągnięte w dramat jednostki. W ten sposób prosty i wielki, elementarny „temat” moralny został eksponowany w sposób bardzo ciekawy i kunsztowny. Zainteresowanie i wzruszenie ludzkie zostaje coraz bardziej wciągane w grę w miarę ujawniania się czynników, wpływających na tok akcji. Najpierw prosta akcja bohatera, który dąży do swego ratunku, do tego przybywa nateżenie współzucia Teresy, która pragnie mu pomóc całą duszą, a następnie uświadomienie sobie, że przedstawiciele gromady stoją obok tych jednostek — protagonistów i mają udział we wpływie na ich losy, przyspieszają lub opóźniają ratunek, albo komplikują sprawę. Nie będę tu powtarzać fabuły, ale tylko jej przesłanie wykażę: cały artyzm tej kompozycji, tak zbliżonej do dramatu greckiego.

Jeszcze jedną uderzającą cechą artyzmu Ramuza jest surowość formy — mimo dążenia do konkretności, plastyki. Mimo bardzo interesujących kolorystycznie obrazów (np. pejzaż, który trzykrotnie zostaje powtórzony, jako kłama epicka utworu) — opowieść Ramuza robi wrażenie kompozycji, utrzymania w czarno — białym tonie, wyrażającym surowość tematu. Tak samo anegdota jest uproszczona do minimum. Dlatego też, mimo wielkiej wartości artystycznych i ideowych, nie jest to lektura przystępna.

Realizm Ramuza, uplastyczniający i konkretyzujący, wynika oczywiście z postawy ideologicznej pisarza, z treści książki. Jest on tu świadectwem, że życie, takie jak jest, a nie upiększone, życie jego chłopów z kantonu Vaud, jest godne pokazania. Nie jest to realizm urągania, ani rzeczowy nihilizm, ani potwierdzenie życia, oparte li tylko na pobudkach lirycznych.

Język, obrazowanie Ramuza wyraża to samo, co fabuła jego powieści: życie jest ważne, by o nie walczyć do końca z nieubłaganą przyrodą, życie jest ważnym i namacalnym dobrem, które cieszy oczy i wszystkie zmysły.

W przekładzie Flukowskiego, często świetnym stylistycznie, razi brak korekty gramatycznej. Np.: „Przyniesiono lustro, ustawiono go” (str. 111); „na pastwisko, na tych, którzy go zamieszkiwali” (str. 123); „czy nie należałoby narysować ją na nowo” (mowa o adnotacji — str. 124); „ale nie ją to nie pocięło” (str. 145); „szuka pelerynę” (str. 151); piargi „podobne są teraz do zastygłego morza, mając po nim w spadku grzbiety, fałdy...”.

Janina Pręgorówna

Hans Eisler w „Les Lettres françaises”

SWEGO czasu drukowaliśmy notę o kompozytorze niemieckim H. Eislerze, emigrancie niemieckim, znanym z przekonań antyfaszystowskich. Jego osoba stała się przedmiotem dochodzeń Komisji dla badań działalności antyamerykańskiej. Niewiadomo jeszcze było, czy odniesie skutek protest Chaplina, Einsteina, Picassa i innych wybitnych przedstawicieli nauki i kultury przeciwko decyzji osadzenia Eislera w strefie amerykańskiej Niemiec. Dziś Eisler już jest w Czechosłowacji, Stany Zjednoczone poszły na ustępstwo, dając mu „wolną” rękę w wyborze kraju. Kiedy Francja i Włochy zamknęły kolejno przed nim swe granice, wyjechał do Pragi, gdzie został owacyjnie przyjęty. Z Czechosłowacji przesłał paryskim „Les Lettres Françaises” niniejszy artykuł.

„Czy oświadczał pan, że pieśń jest bronią w walce politycznej? — spytał mnie Niemiec, mister Thomas, prezydent komitetu zwalczania działalności antyamerykańskiej. — Opowiadano mi, że Napoleon, gdy usłyszał po raz pierwszy dźwięki „Marsylianki”, wykrzyknął: „Wolę tę pieśń od dwustu armii”, a Napoleon znał się na artylerii — odpowiedziałem.

— Proszę zostawić w spokoju Napoleona i odpowiedzieć mi na pytanie: czy uważa pan, że pieśń jest bronią polityczną? — denerwował się Thomas.

— Czas mnie nauczył, że sama pieśń nie może powalić faszyzmu, — odpowiedziałem znowu. Działo się to w Hollywood, we wrześniu 1947 r. Badanie trwało godzinami. Dziś śliski dziennikarzy i fotografów było obecnych na przesłuchaniach, które nadawano ponadto przez radio.

Zadawano mi pod przysięgą pytania idiotyczne i prowokujące. Komitet miał dwa cele: przedstawić mnie publiczności amerykańskiej jako monstrum i potem postać do Sing-Sing, albo skazać na inne więzienie jako krzywdzysięcę.

Komitet sam nie ma prawa karania, lecz jeżeli odpowiedź badanego nie są zgodne z aktami, zostaje wysłana prośba do departamentu sprawiedliwości o wymierzenie kary za krzywdzysięstwo, za co grozi 5 lat więzienia. Wobec tego, że stawiają dziesiątki pytań, można sobie zebrać tych lat już na całe życie. Dotychczas ta zasada nie została jeszcze ani razu w pełni zastosowana, ale czegoż się można spodziewać po nieustannie wzrastającej reakcji? W więzieniach więźniów politycznych traktuje się na równi ze zwykłymi przestępcami.

Na początku przesłuchania przez dwie godziny czytałem mi z gazet, chwalać mnie artykuły, a kiedy spytałem o przyczynę tego

marnowania czasu odpowiedziano mi, że ma to za cel wykazanie, iż jestem Marksem muzyki. W końcu mister Thomas usiłował mnie „złapać”.

— Był pan, tak samo jak pański brat Gerhard, członkiem partii komunistycznej?

— Nie miałem tego zaszczytu, odpowiedziałem, ale jest to partia, którą podziwiam i szanuję.

Ta odpowiedź nie została mi przebaczona. Dowiedziałem się później za pośrednictwem pisma, że pan Thomas oskarżył mnie o krzywoprzysięstwo i że zaproponował moją deportację.

W kilka dni potem zostałem wraz z żoną zaarrestowany bez decyzji sądu. Moja sprawa została połączona ze sprawą mojego brata Gerharda oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Rosji. Obecnie mimo, że jest on osłabiony długotrwałą głodówką, grozi mu kara czterech lat więzienia.

Proszę wszystkich ludzi dobrej woli o manifestowanie solidarności z moim bratem, jak to już uczynili dla mnie, i o wyrwanie go z rąk amerykańskich cerberów.

Właśnie dzięki tej solidarności zostałem wypuszczony z amerykańskiego więzienia. Najlepsi artyści i najsłynniejsi uczeni amerykańscy stanęli po mojej stronie, rozmaite organizacje wzięły udział w proteście. Z wielkiego meetingu w Los Angeles wysłano tysiące petycji. Kampania protestów rozszerzyła się i za granicą. Z wdzięcznością wspominam akcję najlepszych artystów i intelektualistów Francji, jak Picasso, Aragon, Cas-sou, Eluard i tylu innych, jak również rozgłos nadany tej sprawie przez „Les Lettres Françaises”.

Moje projekty na przyszłość? Byłem zaproszony do Francji i do Włoch przez licznych przyjaciół i miałem zamiar tam pojechać. Proponowano mi zresztą napisanie muzyki do satyrycznego filmu „Alicja w krainie czarów”, ale władze francuskie i włoskie, które z pewnością otrzymały „informację” z Atlantyku, odmówiły mi wiz wjazdowych i rozbiłem sobie nos na ich „żelaznej kurtynie”. Przyjęła mnie natomiast Czechosłowacja, która ma tak złą opinię na zachodzie.

Teraz obejmę katedrę w wiedeńskiej Akademii Muzyki i postaram się o jak najszybsze nawiązanie przyjaznych i pozytywnych stosunków z muzykami i filmowcami krajów sąsiednich. Mm. niezłomną nadzieję, że świat nie pozostanie jednak takim, jakim jest obecnie i że zostaną nawiązane normalne stosunki między ludźmi sztuki i myśli wszystkich krajów.

przełożył Mariusz Margal

Radzieckie wydania utworów Mickiewicza

W związku z rocznicą mickiewiczowską trzy wydawnictwa radzieckie przygotowują wydania jubileuszowe utworów największego poety polskiego w przekładach rosyjskich.

Czołowe miejsce w tych zamierzeniach zajmują wydawnictwo literatury pięknej Goslitizdat. Z zainicjowanego przez nie pięciotomowego wydania dzieł Mickiewicza ukaże się w roku bież. tom pierwszy, który będzie zawierał ballady, „Sonety Krymskie”, „Grażynę” i „Konrada Wallenroda”. Równocześnie przygotowywane są trzy oddzielne wydania „Grażyny”, „Sonetów Krymskich” i „Ballad”. W tych ostatnich wydaniach obok wierszowanego przekładu w języku rosyjskim podany będzie oryginalny tekst polski.

Szata zewnętrzna tych trzech wydawnictw Goslitizdata zapowiada się bardzo ciekawie: tom pierwszy wydania ogólnego zdobędzie portrety i autografy poety, kilku jego przyjaciół moskiewsko-petersburskich oraz karty tytułowe oryginalnych druków jego

dzieł „Ballady”, „Sonety” i „Grażyna” w wydaniach oddzielnych, zaopatrzone będą w bogaty materiał ilustracyjny trzech wybitnych rysowników radzieckich. „Sonety Krymskie” zaopatrzone będą m. in. w drzeworyty oryginalne Fiodora Konstantinowa, a ballady w drzeworyty Włodzimierza Domagackiego.

Wszystkich przekładów wymienionych utworów mickiewiczowskich dokonali poeci radzieccy. Bogato ilustrowany jubileuszowy tom Mickiewicza przygotowuje również Państwowe Wydawnictwo Literatury Dla Dzieci Dietizdat, które zamierza dać młodym czytelnikom radzieckim swego rodzaju przekrój twórczości poety w wierszach oddzielnych i urywkach z większych poematów. M. in. w skład tego wydania wejdzie przekład ponad tysiąca wierszy z „Pana Tadeusza”. Część pięknych ilustracji do tomu Dietizdata wykonanych w drzeworycie przez przedwcześnie zmarłego Jerzego Jeczestowa wystawiona była w swoim czasie na wystawie grafiki radzieckiej w Warszawie. Obecnie Andrzej Gonczarow dopełnił te ryciny kilkoma drzeworytami.

Specjalny tom poświęcony Mickiewiczowi zapowiada również wydawnictwo Literaturnoje Nasledstwo — Spuścizna Literacka, znane ze swych publikacji jubileuszowych, obfitujących w liczne i cenne materiały pamiętnikarskie i krytyczne. W tomie poświęconym Mickiewiczowi postawiono sobie za zadanie możliwie gruntowne wyświetlenie i zobrazowanie kilkuletniego pobytu Mickiewicza w Rosji oraz jego stosunków ze światem literackim Moskwy i Petersburga. Redakcja dołądzi już odnaleźć szereg niewyżyskanych jeszcze dotąd materiałów autentycznych, odnoszących się do tego okresu życia Mickiewicza.

R. K.

KSIAŻKI NADESŁANE

Irving Stone: Pasja życia (Powieść na tle życia van Gogha). Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 496.

Jadwiga Kopiczowa: Samotność Tomasza Kobzy (Powieść). Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 227.

Michał Rusinek: Ignazki nieba (Powieść). Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1948, str. 294.

Wanda Ewa Brzeska: Garść ziemi. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Włóczyński”, Włóczyński 1947, str. 100.

Henryk Sienkiewicz: Sztuka węgla. Sztuka w 4 oddziałach. Na podstawie noweli oprac. Stanisław Arndt. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 42, zł 100.—

Armand Salacrou: Laidcy. Sztuka w 1 akcie (fragment „Nocy gniewu”). Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 48, zł 100.—

Polska Ludowa w obronie pokoju i niepodległości. Nakł. Wydawn. Szkolenia KCPR i CKWPPS, Łódź 1948, str. 16, zł 20.—

I. Hannopolski: Plan produkcji przedsiębiorstwa przemysłowego. Nakładem Spółdzielni Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 199, zł 350.—

Wanda Wasilewska: Płomień na bagnach. Nakładem Spółdzielni Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 357, zł 500.—

Tadeusz Kordasz: Zakon miłości. Nakład. Ireny Ochwanowskiej, Radom 1948, str. 114.

Wiktor Hugo: Dzwonnik z Notre Dame. Część III. Nakł. Sp. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 64.

Adolf Nowaczyński: Młodość Chopina. Nakł. Sp. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 236.

Teodor Tomasz Jeż: Uskok. Część I. Nakład Sp. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 225.

Teodor Tomasz Jeż: Uskok. Część II. Nakład Sp. Wyd. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 252.

Jan Parandowski: Król życia — Nakł. Wydawnictwa Eugeniusza Kuthana, Warszawa—Kraków 1948, str. 242.

Lucyna Krzemieniecka: Lala-Lila w samotności. Nakładem Wydawn. Eugeniusza Kuthana, Warszawa—Kraków 1948, str. 27.

Zofia Świdwińska: Bibliografia Pamiętnika Literackiego 1887—1939. Nakł. Tow. Literackiego im. A. Mickiewicza, skład główny: Ossolineum, Kraków—Wrocław 1948, str. 220.

Fryderyk Engels: Anty-Dühring. Nakład. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 406, zł 300.—

Stanisław Jerzy Lec: Życie jest fraszką. Nakład Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 152, zł 200.—

Aleksander Bek: Sześć Wołokolamka. Wyd. II. Nakładem Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 280, zł 160.—

Halina Górska: Druga brama. Wyd. II. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948 r., str. 232, zł 250.—

Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej

wspólnie

z Centralną Księgarnią Rolniczą »Samopomoc Chłopska«

ogłaszają

KONKURS NA UTWORY LITERACKIE

o tematyce związanej z tendencjami i dążeniami świata pracy, nadające się do wygłaszania indywidualnego oraz inscenizowania zbiorowego przez wiejskie zespoły artystyczne. Intencją organizatorów konkursu jest, aby utwory dawały wyraz obecnym przejawom życia społecznego, a w szczególności: Reformie Rolnej, mechanizacji wsi, idei spółdzielczej, współzawodnictwu pracy i sojuszowi chłopsko-robotniczemu.

Forma utworu dowolna. Pożądane są:

- a) wiersze,
- b) krótkie utwory sceniczne,
- c) oryginalne opracowania inscenizacyjne.

Na konkurs należy nadsyłać prace nigdzie dotąd nie drukowane w terminie do dnia 30 września 1948 r., pod adresem: Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej, Warszawa, Pl. Starynkiewicza 7 — z dopiskiem „Konkurs literacki”. Prace podpisane godłem należy przesłać w kopercie, wewnątrz której winna znajdować się druga, zaklejona koperta, opatrzona tym samym godłem, zawierająca kartkę z nazwiskiem autora i jego adresem.

Warunki konkursu:

- I nagroda 60.000.— zł
- Dwie II nagrody po 40.000.— zł
- Trzy III nagrody po 30.000.— zł
- Cztery IV nagrody po 10.000.— zł

Zastrzega się prawo innego podziału nagród między wyróżnionych uczestników konkursu. Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa w wydaniu nagrodzonych prac w wydawnictwie zbiorowym, przeznaczonym dla świetlic — na warunkach ogólnie przyjętych, jak również prawo inscenizacyjnego opracowania nagrodzonych utworów.

(7956)

Kuźnica

Pod wspólną „Banderą“

Wybitne miejsce wśród wszelkiej między-narodowej kanalii, która po klęsce Hitlera znalazła się po obu stronach kanału La Manche, w strachu przed zasłużoną zemstą ludów po tej stronie t. zw. „żelaznej kurtyny“, zajmują „młodycy“ spod znaku Bander i Melnyka. Dla każdego Polaka te dwa nazwiska mają swoją niedwuznaczną wymowę. Co reprezentują — stwierdza nawet pismo Cata — Mackiewicz „Lwów i Wilno“ z dnia 4.7.48 r., gdzie czytamy czarno na białym:

„Ustalmy parę faktów. Jacy to Ukraińcy w Niemczech, a ostatnio w Wielkiej Brytanii stanowią główny kontyngent emigracji ukraińskiej, z którą pewnie czynnik polski podejmuje flirt w rozmaitych od-cinkach. Otóż stwierdzić trzeba, że większość tych uchodźców ukraińskich rekrutuje się z b. uczestników osławionych bojówek Melnyka i Bander. Są to fakty wymagające podkreślenia — ponieważ słyszymy o pewnych działaczach polskich na terenie Niemiec, którzy właśnie z tymi współuczestnikami zbrodni niemieckich lub „rezunami“ z własnej dobrej woli nawiązują współpracę, dopomagają im w tworzeniu międzynarodowych organizacji uchodźczych i sami do nich wstępują...“



Ale pomyliłby się ten, kto by myślał, że korespondent „Lwowa i Wilna“ wyraziwszy oburzenie na flirt swoich współtowarzyszy, będzie pomstował na Banderowców i zażąda na mordców sprawiedliwego wyroku.

Broń Boże! Chodzi tylko o pozory. Niektórzy panowie wychodzący na zachodniej kulturalnej, zatruli po prostu szlachetkę manie-ry. Bratać się z dziećmi hajdamacką, to nie uchodzi, na takie „dictum“ burzy się szla-cka krew, ale pozwalać im hulać po Pol-see w bandach UPA, to już rzecz inna, to już sprawa „polityki“, w tym macza palec ktoś inny, więc można umyć ręce jak Piłat i grzmieć z ambony w duchu archychrześci-jańskim, jak np. czytamy w tejże samej ko-respondencji:

„Domaganie się... wydawania przestępców ukraińskich w ręce sowieckie, byłoby aktem bezmyślnej zemsty, która obca jest naszej chrześcijańskiej umysłowości. Dlatego do- brze się stało, że ze strony czynników pol- skich na Zachodzie poniechano tego rodzaju zemsty — i że niejednokrotnie Polacy w obo- zach DP w Niemczech ratowali Ukraińców przed groźną im drogą na Wschód“.

Chyba jasne. Trzeba tylko wszystko — naj- gorsze nawet łajdactwo przykryć pięknym frazesem o „chrześcijańskiej umysłowości“, a można wtedy chronić przed karzącą ręką sprawiedliwości mordców własnych braci.

k. p.

„Nord — Amerika“

Wychodzący w Nowym Jorku dziennik „Nord — Amerika“ zamieścił obszerny arty- kuł p. t. „10 Jahre Allierte Politik“ w któ- rym komentując przyczyny ostatniej wojny, stara się wykazać, że narody europejskie „niemodrze postąpiły, prowadząc wojnę z Niemcami, gdyż nie przez to nie zyskały, a tylko znalazły się na krawędzi przepaści“.



W dalszym ciągu artykułu dziennik wypo- wiada opinie, że druga wojna światowa wy- wołała w gruncie rzeczy Wielką Brytania i Francja, a nie Niemcy. Dziennik uważa, że wojna z Polską była sprawą czysto lokalną, mającą na celu wyrównanie granic i speł- nienie słusnych żądań Hitlera. „Sprawa ta mogła być wkrótce uregulowana, Hitler nie tylko nie chciał wojny z Anglią i Francją, ale nawet dokładał wszelkich wysiłków, aby jej uniknąć“. Dziennik pisze dosłownie na ten temat:

„Anglia rozpoczęła w roku 1939 wojnę przeciwko Niemcom w obronie Polski, jak- kolwiek żadne jej interesy nie były zagro- żone i jakkolwiek Niemcy aż do ostatniej chwili, usiłowali trzymać Anglię zdala od wojny i zapobiec temu, żeby lokalny kon- flikt przekształcił się w wojnę światową. A więc wojna światowa wynika z winy Ang- lii — i zakończyła się największą katastro- fą wszystkich czasów, nie tylko dla Niemiec i Anglii, ale i dla całego świata“.

Co się liczy istoty konfliktu niemiecko- polskiego, to dziennik wypowiada w tej spra- wie takie oto „oryginalne myśli“. „W roku 1939 Niemcy wysunęły wobec Polski żądania, które w podobnych warunkach postawiłoby każde państwo, a mianowicie zażądały one zwrotu tych Ziemi Wschodnich, które zmu- szone były oddać Polsce na podstawie trak-

tatu wersalskiego. W przeciwieństwie do An- glii, która w wojnie boerskiej zażądała odda- nia Transvaalu jedynie z czystej chęci ra- bunku, Niemcy w 1939 r. żądały jedynie zwrotu ziem niemieckich, zagarniętych przez Polaków i nie domagały się oddania im ziem naprawdę polskich“.

Gdzieś to już wszystko słyszeliśmy, tylko gdzie? bs.

Również „Nord — Amerika“...

W kołach politycznych Stanów Zjednoczo- nych szeroko komentuje się ostatnie aresztowa- nia przywódców partii komunistycznej. Według opinii czynników kompetentnych, wydarzenie to jest zapowiedzią ostatecznej ofensywy przeciwko partii komunistycznej w celu wyjęcia jej spod prawa.

Aresztowanie działaczy komunistycznych nastąpiło na podstawie ustawy, która nosi na- zwę — „Smith Act“. Ustawa ta została wyda- na w r. 1940, lecz od tego czasu była stoso- wana tylko jeden raz przeciwko członkom trockistowskiej socjalistycznej partii robot- niczej. Obecnie ustawa ta została wyciągnię- ta na światło dzienne w związku z oświad- czeniem Devey'a, który w czasie polemiki przedwyborczej ze Stassenem, zaznaczył, że projekt Mundta nie jest konieczny, gdyż wy- wrotowa działalność może być zwalczana za pomocą „Smith Act“.

W związku z tą sprawą, dzienniki amery- kańskie donoszą, że na podstawie wspom- nianej ustawy przywódcy komunistyczni mogą być skazani na kary do 10 lat więzie- nia i 10 tys. dolarów grzywny. Zdaniem wie- lu dzienników, władze amerykańskie przy- wiażują wielkie znaczenie do tego procesu, gdyż wyrok skazujący Najwyższego Sądu USA będzie podstawą do wytoczenia proce- sów wszystkim członkom partii komuni- stycznej.

Obserwatorzy polityczni uważają, że ofen- sywa przeciwko partii komunistycznej ma na celu również skompromitowanie trzeciej par- tii Wallace'a.

bs.

W Malabarze...

W Malabar w południowo-indyjskiej pro- wincji Madras wybuchło powstanie. Głód i bezrobocie spowodowały, że miejscowa lu- dność zbuntowała się. Znaczący odłam miejsc- owej ludności przystąpił do odbierania siłą za- pasów ryżu od obszarników i rozdzielania ich pomiędzy głodujących. Rząd zastosował okrut- ne represje.

Powstanie w Malabarze nie jest zjawiskiem przypadkowym. Ludność tych obszarów gło- duje już od roku 1939. Malabar nigdy nie był samowystarczalny i przed wojną sprowadzał ryż z Bury. Po okupacji Bury przez Japoń- czyków w czasie wojny, w latach 1943—1944 obszary te nawiedził straszliwy głód, który po- ciągnął za sobą śmierć wielu ludzi. Od tego czasu wyżywienie ludności nigdy nie osiągnęło zadawalającego poziomu. W chwili obecnej ra- cja żywnościowa ryżu wynosi 6 do 8 uncji na głowę ludności. Ilość ta po oczyszczeniu zmniejsza się do 5 uncji. Poza tym wydawana jest kukurydza w ilości 2 uncji na głowę. Miej- scowa ludność żywi się jednakże wyłącznie ryżem i zostało ustalone przez lekarzy, iż kra- jowcy nie mogą strawić kukurydzy. Istniejące w Malabarze zapasy ryżu są ukrywane przez spekulantów. Zamiast walczyć ze spekulanta- mi, rząd chce zmusić ludność do zastąpienia ryżu kukurydzą. Doprowadzona do rozpacz- nej ludność postanowiła sobie sama wymierzyć sprawiedliwość.

Miejscowa ludność dotknął jeszcze inny cios, mianowicie kryzys w przemyśle włókienni- czym. Wobec chaotycznej polityki rządu cen- tralnego w Delhi i wydawanych przez niego sprzecznych zarządzeń, przemysł włókienniczy w Madras, znajdujący się jeszcze przed rokiem w stanie kwitnącym, zmuszony był ograniczyć produkcję, co spowodowało, że tysiące rodzin znalazło się bez pracy. W jednym tylko okręgu 50.000 rodzin pozostało bez środków utrzy- mania.

W akcji represyjnej wyróżniają się specjalne oddziały policyjne, powołane do życia przez Wielką Brytanię do walki z ruchem wywo- leńczym. Czołowym tym dzisiaj centralny rząd indyjski przydzielił miejsce honorowe.

Walka wzmaga się z każdym dniem. Repre- syje przejęły charakter wyraźnie faszystowski. Biura partii komunistycznej i związków zawo- dowych znajdujących się pod wpływem komu- nistów zostały zniszczone lub spalone, czytel- nie i świetlice zamknięte lub zburzone. Sporząd- zone zostały przez rząd listy wszystkich miejscowych komunistów i ich sympatyków i przekazane policji. Dniem i nocą odbywają się po wsiach obławy i aresztowania.

Wandalizm policji nie zna granic. Aresztowa- nych rozbiera się do naga i bije do nie- przytomności. Na pytanie, wymierzających razy „Czy chcesz kukurydzy“, należy odpo- wiedzieć „tak“. Delikwent z ogoloną głową i czerwoną szmatą przytępioną szpilką do gło- wy — ma ona przedstawiać czerwony sztandar, powiewający w Moskwie — oprowadzany jest po ulicach wioski. Policja zmusza aresz- tantów do wznoszenia okrzyków „precz z par- tią komunistyczną“, „precz z Ranadive'm“. Ranadive jest sekretarzem indyjskiej partii komunistycznej. Wszystkich mieszkańców wsi policja zwołuje na zebranie, na którym deli- kwent musi składać przysięgę na wierność dla Kongresu. Ceremonię tę poprzedza uroczyste spalenie czerwonego sztandaru. Następnie po- licja wydaje świadectwa tym z aresztowa- nych, którzy złożyli przysięgę. W północnej części Malabaru panuje straszliwy terror. Nikt nie czuje się bezpieczny. Policja zmusza kobiety do udzielania informacji i wydawania tajemnic. Normalne życie zamario. Ulice wio- sek opustoszały. Na południu Indii panuje atmosfera absolutnie przypominająca faszizm.

bs.

... i na Malajach

Na Malajach rząd brytyjski przeprowadza brutalną akcję pacyfikacyjną. Jak donosi „Allied Labour News“ z Singapooru w ramach akcji tej zamordowano już wielu przywódców ruchu zawodowego i aresztowano po- nad 1.000 malajskich działaczy politycznych. W akcji przyjmują udział samoloty myśliw- skie i znaczna liczba oddziałów lądowych. Głównym źródłem oporu Malajczyków jest według tej agencji inflacja, która objęła ca- ły kraj i przyczyniła się do obniżenia po- ziomu życia na Malajach.

Przed wojną Brytyjczycy, którzy kontro- lują większość światowej produkcji cyny i kauczuku na Malajach, sami wyznacza- li światowe ceny. Po wojnie Stany Zjednoczo- ne domagają się utrzymania na przedwojen- nym poziomie cen obu głównych produk- tów malajskich. Brytyjczycy zdecydowali się na utrzymanie zysków przy niskich cenach płaconych przez odbiorców amerykańskich przez odmowę podwyższenia płac robotni- ków malajskich.

Malajski świat pracy nie może żyć z o- becnych zarobków, zwłaszcza wobec konie- czności importowania na Malaje ryżu, któ- rego uprawa na miejscu nie opłaca się bry- tyjskim właścicielom plantacji.



Malajskie związki zawodowe przeszły do akcji czynnej, po wyczerpaniu wszelkich po- kojowych środków, zmierzających do po- prawy bytu pracowników. Ich ruch oporu opiera się na doświadczeniach ruchu par- tyzanckiego przeciw Japończykom w czasie ostatniej wojny.

Zastrzelony ostatnio przez Brytyjczyków przewodniczący związku zawodowego robot- ników plantacji kauczuku był jedną z czo- łowych postaci malajskiego ruchu oporu przeciw Japończykom.

Władze brytyjskie, które likwidują akcję malajskich związków zawodowych pod ha- słem walki „z komunizmem i terroryzmem“, zapowiedziały oficjalnie rozstrzelanie bez sądu schwytych członków obecnego ru- chu oporu. Brytyjski komisarz na Malajach Mac Donald oświadczył przed kilku dniami, że „życie każdego terrorysty po schwytaniu go przez władze brytyjskie, będzie bardzo krótkie“.

bs.

Z lektury tygodników literackich

Lektura drukowanych ostatnimi czasy w tygodnikach literackich opowiadań, wyjąt- kowo powieści i wierszy potwierdza raz jesz- cze starą prawdę, że nie ma dotąd u nas dobrej literatury drugorzędnej. Obok kilku wybitnych talentów — większość piszących zdradza często nieznajomość podstawowych zasad sztuki pisania.

Dlatego — sadzimy — przedwczesne i oder- wane od konkretnej rzeczywistości literac- kiej są powtarzające się od pewnego czasu skargi i narzekania na zbytnią rzekomo tro-

ską o „poziom“ i „dobre rzemiosło“ w na- szym piśarstwie.

Nawet ciągłe nasze pogotowie, nawet o- krzyk „ha, Sardes gore!“ nie może uspra- wiedliwić niedbalstwa i nieoryginalności ar- tysty. Sztuka musi pozostać sztuką nawet w obliczu Persów, inaczej nie będzie Mara- tonu.

Z. L.

Satyrycy i propaganda

Nareszcie! Nareszcie czynniki urzędowe za- interesowały się jak należy literaturą. Pań- stwowe przedsiębiorstwo „Film Polski“ za pomocą potężnej broni propagandy, jaką jest tygodniowa kronika „Filmu Polskiego“ za- częło popularyzować pisarzy. Na ekranie jednej z ostatnich kronik widzimy świetnych satyryków Jani Brzechwę i Janusza Minkie- wicza, jak w towarzystwie Stefani Gro- dzieńskiej i Kazimierza Pawłowskiego udają się na objazd po Polsce ze swym programem humoru i satyry p. t. „Ładacznicy z zasa- dami“. Cóż za świetna organizacja! Salonka, radio, film — wszystko na usługach pisa- rzy!

Mamy nadzieję, że to tylko dobry począ- tek. Niewątpliwie po zakończonym objeździe satyryków Ministerstwo Komunikacji, Film Polski i Polskie Radio z tą samą uprzejmo- cią udzieli podobnych środków do dyspozycji ekipie liryków, potem pojadą krytycy,

bs.



potem profesorowie uniwersytetu. Zobaczy- my na ekranie wsłuchującą do salonki grupę „Kuźnicy“, A. Stawara, M. Kierczyńska, K. W. Zawodźńskiego, Kubackiego i Wyke. Miejsy tylko cierpliwość.

rkm.

Jak uniknąć grzechu ciężkiego?

Poważne zmartwienie ma redakcja „Tyg- Powszechnego“. „W sali tronowej pałacu kró- lewskiego w Atenach — czytamy w ostatnim numerze tego pisma — odbył się niedawno ślub księżniczki Anny Bourbon-Parma z b. królem Rumunii — Michałem. Wkrótce po uroczystości Watykan przez usta miarodajne- go dostojnika kurii rzymskiej oświadczył, że Anna będąc katoliczką i biorąc ślub według obrządku prawosławnego faktycznie popadła w ekskomunikę“.

„Małżeństwo to — wyjaśnia dalej „Ty- godnik“ — w oczach kościoła nie jest ważne. Ażeby podnieść się ze stanu grzechu ciężkie- go, Anna musi objąć skrucie, wziąć ślub katolicki oraz zobowiązać się, uzyskawszy zgodę Michała, do wychowywania przy- szłych dzieci w wierze katolickiej“.



„Tygodnik“ zaznacza, że podaje tę wia- domość jako dowód, iż możnych tego świa- ta kościół traktuje narówni z małuczkami, jednakowo karząc ich za popełnione grzechy. Nam jednak przede wszystkim bardzo żal biednego króla Michała. Tak czy owak będzie musiał grzeszyć. Bo jeśli wychowa dzieci po katolicku, to zgrzeszy jako prawosławny. A jeśli w religii prawosławnej — to żona jego będzie wykleła. I tak źle i tak niedobrze. I gdzie tu jest wieczna, powszechna spra- wiedliwość? A przy tym podobno, jak uczy historia kościoła, — między religią katolicką i prawosławną nie ma żadnych różnic do- gmatycznych.

rkm.

Niebezpieczne brody

Z artykułu p. Jana Dobraczyńskiego w ka- tolickim tygodniku społecznym „Dziś i Ju- tro“ (Nr 29), p. t. „Erotyzm komercyjny?“.

„Pewni znajome mi zakonnice w książ- kach czytanych na głos w refektarzu, wykroślały zdania, które mówiły, że któ- ryś z bohaterów miał brode, uważały wi- dać, że broda jest najbardziej niepokoją- cym symbolem męskości“.

Szkoda jednak, że przy tej okazji nie do- wiedzieliśmy się, jakich zdań wspomniane zakonnice nie wykroślały.

b. d.

Wyjaśnienie

W n-rze 25 „Kuźnicy“ ukazała się nota p. t. „Architektura i intuicja“ opatrzona pod- pisem inż. Janusza Ballenstedta. Wyjaśnia- my, że tekst noty tej, opracowany na pod- stawie materiału dostarczonego nam przez inż. Ballenstedta jest dokonany przez re- dakcję skrótem jego listu nie uzgodnionym z autorem. W związku z tym, zaopatrzenie noty podpisem inż. Ballenstedta było wyni- kiem niedopatrzania redakcyjnego.

Redakcja „Kuźnicy“

Redaguje: Zespół „Kuźnicy“.

Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik“

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96 — Telefon 204-75

CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpaltę 40 złotych

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—.

Należność za prenumeratę należy wpłacać

do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy“

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“ — Łódź, Żwirki 2.

D—028489